

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 25. II. 1951 r.

Nr 8 (291)



EDMUND NIZIURSKI

MŁODZI

Mnie, towarzysze — oświadczył Roman Zambrowski omawiając przebieg w pracy młodzieży na wsi* — udało się wczoraj wysłuchać tylko 10 waszych przemówień, ale myślę, że wystarczy wysłuchać tylko tych 10 przemówień, ażeby móc stwierdzić, że jest coś nowego i bardzo cennego w pracy ZMP na wsi. Na czym polega to nowe i to cenne w pracy ZMP na wsi? Polega ono przede wszystkim na tym, że wy pozostawiliście daleko za sobą te czasy, kiedy wasi aktywni w praktyce często traktowali wszystkich chłopów i całą wieś jako jednorodną, nieróżniczkowaną całość.

„Dziś ZMP-owcy nauczyli się już rozróżniać między biedotą wiejską, naszym głównym oparciem na wsi i średniakiem — naszym sojusznikiem a kulakiem, wyzyskiwaczem i spekulantem.

„Dziś ZMP-owcy coraz aktywniej włączają się do walki klasowej, która codziennie i nieustannie, w każdej gminie, w każdej gromadzie się toczy.

„Po drugie: to nowe i cenne w pracy ZMP na wsi polega na tym, że waszą postawę cechuje coraz większe poczucie odpowiedzialności za wszystko co się u was w terenie dzieje, że ZMP-owcy coraz bardziej czują się młodymi gospodarzami swej wsi.”

Towarzysz Zambrowski wskazał na dwie zasadnicze sprawy: na sprawę nowego widzenia i działania młodzieży wiejskiej.

I.

Gdy ZMP-owiec z Bystrej demaskował nadużycia w spółdzielni a prezes Pasternak groził mu: „co ci do tego smarkaczku!” — gdy w gminie Siemysłów (woj. opolskie), gdzie średniacy na skutek propagandy wroga niechętnie dostawiali zboże, „stary” aktywiści gminni wzdrzali się dopuścić ZMP-owców do akcji skupu zboża, bo nie wierzyli, że ZMP-owcy potrafią przekonać swych ojców obawiali się, że raczej im ulegną — gdy kierownik majątku PGR Gałęźnia Wielka, Cichowski, złośliwie odmawia młodzieży ZMP-owskiej z tego gospodarstwa furmanek na zebranie i nie przekazuje odbieranych przez siebie telefonogramów organizacji — gdy dyrektor zespołu PGR Mantarzyno i jego zausznik, agronom, udaremniają próby młodzieży zorganizowania brygad omlotowych i kolektywnej pracy — warknięciem: „wy nas nie będziecie uczyć”, a sami dopuszczają do zgnicia wielkiej ilości ziemniaków i nie wykonują nawet w 50% planu omlotu, to takie fakty nie mieszczą się już w zakresie złych i dobrych obyczajów i to już nie jest jakaś „walka pokoleń”. To jest po prostu walka polityczna o sprawy ogólnie - społecznej i państwowej wagi.

* W dniach 27 i 28 stycznia odbyła się w Warszawie Krajowa Narada aktywu wiejskiego ZMP.

Ten więc, kto młodzież usiłuje utrzymać tylko w murach szkoły i świetlicy i nie wypuścić poza świetlicę i boisko sportowe — pozabawia Partię w terenie jej najwierniejszego pomocnika i demaskuje swój szkodliwy a często wrogi stosunek do walki o socjalizm, jaka się na wsiach naszych toczy.

Młodzież posiada zawsze ten cenny kapitał, który na ogół rzadko zatrzymują starsi — zapal. Młodzież wolna jest w swej masie od nawyków i obciążeń posiadacza. Dlatego młodzież tworzy dziś trzon tych nowych kadr, tych nowych, wyrosłych ludzi, którzy — jak mówi tow. Zambrowski — nie chcą i nie widzą już dla siebie powrotu do indywidualnej gospodarki, ludzi, których porwał patos wspólnej, socjalistycznej pracy dla dobra własnego i całej spółdzielczej gromady.

W gromadzie Borowa — opowiadał na naradzie kolega Michalik — gdy ojcowie ZMP-owców Kowalskiego i Majewskiego uprzedzili odmawiali przystąpienia do spółdzielni produkcyjnej, ZMP-owcy na ogólnogromadzkim zebraniu wystąpili przeciw własnym ojcom i powiedzieli: „jeśli nie chcecie wstąpić do spółdzielni to my wstąpimy. Oddajcie nam naszą gospodarkę, co nam się należy i my zapiszemy się”. Ojcowie przekonani bojowością i zapalem synów zdecydowali się w końcu na przystąpienie do spółdzielni.

To ma wymowę.

II.

Ponad 90 proc. naszych chłopów pracuje jeszcze indywidualnie i chodzi w jarmie drobnotowarowej gospodarki. Ten fakt określa w wystarczająco jasny sposób czołowe zadanie młodzieży na wsi. Jest nim wciąż jeszcze i przede wszystkim praca wśród chłopów gospodarujących indywidualnie.

„Tutaj ciągle jeszcze znajduje się główny tor walki klasowej — wskazał na Naradzie tow. Zambrowski — naszym zadaniem, jako pomocnika Partii jest w tej wsi indywidualnej przetrząść mosty, po których chłopom łatwiej będzie pójść drogą do socjalistycznej gospodarki, do spółdzielczości produkcyjnej”.

Te mosty to praca powołanych dekretem Władzy Ludowej takich instytucji i akcji jak spółdzielczość zaopatrzenia, kontrakcje, ośrodki maszynowe, planowy skup zboża, pomoc sąsiedzka. Ale pamiętajmy: nie same instytucje lecz praca tych instytucji i nie same akcje lecz walka w ramach tych akcji. Samo utworzenie danych instytucji i zorganizowanie akcji to jeszcze nie wszystko. Nie są one żadnym cudownym środkiem na socjalistyczny wzrost ani automatem podnoszącym mechanizm chłopstwa do gospodarki kolektywnej. Istotne jest natomiast, jak one pracują, jaki jest ich styl pracy.

Lenin przestrzegał przed wiarą w magiczną siłę dekretu. Wiarę taką nazywał komunistyczną pyszałkowatością.

„komunistyczna pyszałkowatość oznacza, że człowiek należący do Partii komunistycznej i jeszcze z niej nie wyrzucony wyobraża sobie, że wszystkie swoje zadania potrafi rozwiązać za pomocą komunistycznego dekretowania”. („Ogólnorosyjski zjazd pracowników oświaty politycznej”). Działa, tom XXVII, str. 50—51).

Pracujący po bolszewicku działacz terenowy nie będzie więc liczył na to, że mosty do socjalizmu samoczynnie przeprowadzą masy małe — i średniorolnego chłopstwa, lecz podejmie codzienną znużoną walkę o wykorzystanie tych instytucji i akcji jako skutecznego narzędzia walki klasowej, torującego drogę do spółdzielczości produkcyjnej, podejmie powściągnięcie trud walki o wielką rzecz, o to, by chłop w tych zwykłych codziennych sprawach, w tych użytkowych, gospodarczych akcjach i instytucjach, z którymi się ciągle styka zobaczył bojowy oręż, jaki mu daje klasa robotnicza i jej rewolucyjna Partia i by tym orężem nauczył się klasowo skutecznie walczyć.

Nasi aktywiści doceniają znaczenie ekip robotniczych odwiedzających wieś. Nieraz wzdychają: żeby tak można zatrzymać je u siebie na wsi na stałe. A przecież są takie stałe ekipy robotnicze na wsi. Nazywają się Państwowe Ośrodki Maszynowe (POM). W nich znajdują najbardziej „namacalne” wcielenie i bezpośredni wyrz — sojusznik robotniczo - chłopski. Ta placówka robotnicza i przemysłowa na wsi to najbardziej wysunięta na froncie walki klasowej forpoczta socjalizmu na wsi, to potężna dźwignia spółdzielczości produkcyjnej na wsi, która, jak powiedział tow. Zambrowski, w miarę rozwoju będzie przewyższać odwieczny podział między wsią a miastem, odwieczne zacofanie wsi wobec miasta.

To jeden z najsukuczniejszych oręży, jaki klasa robotnicza daje pracującemu chłopstwu.

Czy jednak oręż ten działa automatycznie bez świadomych kadr, bez ustawicznej pracy politycznej i czujności?

Posłuchajmy co mówił kol. Zdrodowski o pracy kół ZMP w pewnym POM-ie. Zdrodowski dzielił pracę ZMP na trzy okresy.

„Jeśli chodzi o okres pierwszy, to okres ten mógłby nazwać okresem barbarzyństwa w POM-ie (wesołość na sali). Nic śmieszniejszego koledy. Sytuacja była taka, że trzeba było płakać nieraz. Ludziom mówili się różne, różne rzeczy, ale nikt tego nie wykonał, co się mówiło. Każdy robił swoje. Gdy przyjeżdżało się do brygady wypłacie to wielu leżało pijanych. Na porządku dziennym rozbicia traktorów, awarie i inne rzeczy. Brygada II w nowoorganizowanej spółdzielni rozegnała całą wieś sztachetami, wybiła szyby w oknach u sołtysa i rzuciła się na milicjanta. Zorganizowałem kóło ZMP-owskie. W ośrodku było kilku starych ZMP-owców, ale niekórzy z nich nie chcieli się przyznawać do tego, że są nimi. Pomału zebrałem gromadkę ludzi, z którą zacząłem pracować, a w pracy tej barżo dopomógł mi

„Poemat Pedagogiczny” — Makarenki. Przeczytałem go dwa razy i nauczyłem się wiele. Znalazłem tam dużo wskazówek jak mam robić, jaką słuszną drogą kierować się w swej pracy. Zaczęłem szukać przyczyn zła.

Ci młodzi ZMP-owcy to poprostu byli analfabeci pod względem politycznym. Nieraz trzeba było iść z takim kolegą i pokazać mu sabotaż w tym miejscu gdzie on pracował, a czego nie widział”.

A więc i POM może mieć swoją historię i swoje okresy „barbarzyństwa”, kiedy praktycznie nie tylko nie spełnia funkcji politycznych ale i może szkodzić sprawie. Tak, bo nie same maszyny ale „kadry decydują o wszystkim”. Bo warunkiem skutecznej pracy POM-u jest poziom polityczny. Dlatego powołaliśmy do życia wydziały polityczne w POM-ach Dlatego ZMP-owcy również muszą walczyć o ubojowanie ideologiczne POM-ów.

Doniosłe znaczenie tej pracy potwierdzają wyraźnie doświadczenia terenowe. Nie trzeba zresztą sięgać daleko. Wystarczy przykład wspomnianego już POM-u z powiatu Choszczno. Praca polityczna ZMP wydała tam szybko owoce. M. in. w POM-ie powstało 5 brygad „Lekkiej Kawalerii”. Charakterystyczny jest tu fakt, że przełom nastąpił w wyniku dostrzeżenia konkretnego wroga klasowego i w konkretnej z nim walce. Wrogiem tym był kulak Nowicki, były granatowy policjant, który dotąd trząsał rekami swych kumotów całą okolicą. Gromada nałożyła na niego obowiązek odsprzedaży 40 m zboża. Bogacz „zaofiarował” 20 metrów i to jeszcze ze stękaniami. W rzeczywistości do 10 stycznia nie zaczął nawet młócić zboża. „Lekka Kawaleria” wyruszyła w teren. „My, proszę kolegów, 70 m jemu namióciliśmy — opowiada kolega Zdrodowski o wynikach akcji — a jeszcze i tak wszystkiego mu nie namióciliśmy, bo chcieliśmy mu nie resztę zostawić dla życia i inwentarza.”

Odtąd Gminna Rada Narodowa zwracała się do „Kawalerii” o pomoc. Ta sama spółdzielca wieś, która była ofiarą „barbarzyństwa” chłopów z POM-u, dzisiaj widzi w tej młodzieży zdyscyplinowany, bojowy — i własny oddział kadrowy, który nie zawiedzie w boju.

To jest drugi „Poemat Pedagogiczny”, który czeka na pióro polskiego Makarenki.

Podobnie jak POM wielką dźwignią dla pracującego chłopstwa jest Gminna Spółdzielnia ZSC. A jednak zdarzyło się w Bystrej, o czym mówił na naradzie kol. Hojdas, że zła praca tej spółdzielni dawała broń propagandową w ręce... wroga klasowego.

Jeśli spółdzielnia gminna źle pracuje — powtarzali kulacki argumentację miejscowi chłopcy — to jak pracować będzie spółdzielnia produkcyjna?

Wielką dźwignią jest kontrakcja. A jednak w Koźmicach Wielkich pow. Kraków szła na rękę właśnie bogaczowi a nie maiorolnym, przez że zorganizowanie skupu i wyłączenie czynnika społecz-

nego przez polityczne jej wypaczenie.

Skoro zaś kontraktuje nie maiorolny, lecz bogacz i on korzysta — coż się dzieje z dźwignią?

Rozwiązanie tego problemu — problemu skutecznego wykorzystania potencjału bojowego instytucji i akcji gospodarczych na wsi — to główne zadanie aktywisty. Nie trzeba podkreślać jak wielką pomocą są takie dobre pracujące instytucje i przeprowadzone akcje przy bezpośredniej agitaacji i przekonywaniu rodziców przez młodzież — do spółdzielczości produkcyjnej.

III.

Jak stoi zagadnienie właściwego stosunku do takiego chłopca małego i średniorolnego, który nie pojmuje jeszcze spółdzielczości produkcyjnej?

Trzeba zrozumieć chłopca - biedniaka, który cofa się od wkładu inwentarzowego i mówi: „dobrze, ja się godzę na spółdzielnię, ale przecież ja się dorobiłem pierwszy raz w życiu konia, ja go teraz nie oddam, oddam go dopiero na wiosnę” i trzeba odróżnić tego chłopca od kulaka. Cholesia, który, zakrywając się gomulkowszczyzną, rozbijał perfidnie spółdzielnię. Trzeba odróżnić otumanionego średniaka, który nie chce deklarować konia i mówi: „ja mam przecież działkę przyzagrodową, a wście nie obiecuję drugą dodatkową działkę i dlatego ten koń mnie się przyda. Bo nam tutaj tłumaczą na gromadzie, że statut przewiduje dla tej działki przyzagrodowej do jednego ha, w zależności od gruntu, ale nam tutaj również mówią, że specjalnie pod kartofle dostaniemy jeszcze po jednej działce hektarowej, abyśmy mogli zasadzić kartofle i zasiać trochę pszenicy”. Trzeba tych chłopów odróżnić od wroga, który tak uświadamiał członka, od wroga, któremu chodziło o to, aby chłop stracił wiarę do płoń, jakie uzyska w spółdzielni, aby stracił wiarę, że z pracy w spółdzielni będzie mógł dobrze żyć, aby nie wychodził do pracy w spółdzielni, lecz tylko na swoją działkę przyzagrodową.

IV.

Kolega Przybocień za jedną z podstawowych korzyści, jakie przynosi spółdzielnia produkcyjna uważał to, że młodzież wtedy ma łatwiejsze przejście do miast, do przemysłu. Słusznie. Potrzebny jest w Planie 6-letnim przemarsz miliona ludzi ze wsi do przemysłu.

Ale kolega Lekki opowiedział o drugiej stronie zjawiska odpływu młodzieży ze wsi.

W jednej z gromad pow. Oleśnica natychmiast po zorganizowaniu Komitetu założycielskiego Spółdzielni Produkcyjnej młodzież zaczęła masowo opuszczać te gromady i wyjeżdżać do Wrocławia, do PAFAWAG-u, do Oleśnicy — do miast i do fabryk. O czym świadczy taka zdawałoby się panikarska ucieczka z gromad? Czy jest to ucieczka przed spółdzielnią? Nie, problem jest inny.

Tej młodzieży nie potrafił nikt wskazać realnej możliwości awansu społecznego na samej wsi w miarę rozwoju tam form socjalistycznych, — a tymczasem, tak wykażał tow. Zambrowski, zagadnienie awansu na samej wsi jest dla młodzieży wiejskiej pierwszoplanowe w perspektywie czasu.

„Nasze PGR-y i rozwijający się ruch spółdzielczości produkcyjnej będzie wymagał coraz większej armii mechaników, techników, kierowników warsztatów, brygadzystów, agronomów, zootechników, pracowników gospodarczych i kulturalno - oświatowych. Cała armia nowej chłopskiej inteligencji socjalistycznej będzie powstawać na wsi polskiej. I ten awans społeczny trzeba widzieć. Socjalizm u nas rośnie nie tylko w Nowej Hucie pod Krakowem, ale rośnie z rozwojem PGR-ów i POM-ów, rośnie z rozwojem spółdzielni produkcyjnych”.

Organizacja ZMP-owska w powiecie Oleśnica popełniła pod tym względem błąd. Błąd ten zabrała się o drugi.

Jeden z kolegów na Naradzie szczylił się, że organizacja wysłała na kursy szkoleniowe praktyków specjalistów nie 14 ale 16 członków. Ciekło było, ale się wyszło aż (!!) 16! Oto główny sukces organizacji. Czyżby?

To znaczy przecież, że dumna ze swej pracy organizacja nie zna swojej młodzieży. Agituje na ślepo! Brak u niej długofalowości pracy, o której mówił tow. Zambrowski. To jest sprawa typowego błędu, który polega na rwanej pracy od kampanii do kampanii.

Głęboko miejscowy ZMP przez cały rok badał i poznał indywidualnie zainteresowania, zdolności i marzenia młodzieży, gdyby pracował nad rozwinięciem tych zainteresowań i zdolności, gdyby uczył o awansie na wsi — wtedy problem wyglądałby wprost przeciwnie: co zrobić z kandydatami, których ilość przewyższyła możliwy kontyngent w szkołach?

Jednakże problem awansu na wsi to nie tylko problem uświadczenia i szkolenia młodzieży. To także problem właściwej polityki i praktyki kadrowej na wsi.

Przemawia na naradzie kol. Lewandowska, młody agronom z zespołu PGR Montarzyno. Opowiada o pracy organizacyjnej ZMP w zespole.

Przewodniczący: powiedzcie nam przede wszystkim koleżanko, jak wy młody agronom, pracując na tym PGR-e, jak wam tam idzie praca.

Tow. Lewandowska: Cnęc właśnie powiedzieć, że Zarządy Główne niewłaściwie rozmieściły młode kadry, które w tym roku wyszły ze szkół. Ja, jako młodszy agronom, nie zajmuję się moją pracą, gdyż Zarządy skarżą się na brak sił biurowych i zatrudniają nas w biurze, nie dopuszczając do produkcji.

dokończenie na str. 2

Epoki Kollatajowskiej

FRANCISZEK SALEZY JEZIERSKI

Niektóre wyrazy porządkim abecadła zabrana i stosownymi do rzeczy uwagami objaśnione

(WYJĄTKI)

ARYSTOKRACJA. Jest przywłaszczenie rządu i przewodzenie bezprawne w postaci prawa, usługując się pozorami jego powagi. Arystokracy mają znaczenie w kraju nabyte nie niesłusznością, tak jak złodzieje mają dostatek nabyte kradzieżą. W Polsce chłop widzi arystokratę szlachcica dziedzica. Szlachcic widzi arystokratę pana. Pan widzi za siebie samego arystokratę w ziemi, ale ten widok zaraz zakrywa zasłona równości.

CZŁOWIEK. To słowo, oznaczające osobę ludzką, musi być w języku polskim wyrazem zagranicznym i obcym, bo jeżeli człowiek w polskim języku przeczytałby wspólną naturę jestestwo, więc Polska musiałaby mieć prawa człowieka, zabezpieczające jego własności i wolności, ponieważ zaś tego wszystkiego w Polsce nie mamy, więc w polskim języku wyraz człowiek jest całe wyrażenie postronnym i obcym, nie mającym znaczenia na umysłach wyrażonego jednowładnych stanów Rzeczypospolitej 1).

EMANCYPACJA. Znaczy wolnienie, wyzwolenie, nadanie wolności, czyli jej powrót. Wolności jest nadawczym panem Stwórca, wolnym być jest przymiot własny człowieka, przeszkodą zaś używania wolności nie powinno być tylko albo słabość z niedołączonej natury, albo kara za występki ulomnej natury, i tak dziecię i szalony nie mogą mieć wolności, bo jej używanie byłoby dla nich szkodą. Winowajca w więzieniu nie może mieć wolności, bo by przez to sprawiedliwość cierpiała, lecz gdy dziecko dorosło, szalony ozdrowieje, więzień wypełni karę, powraca się do wolności i ta staje jego własnością, takie dzieło powrócenia wolności nazywa się emancypacją i takiej tylko powrócenie wolności możemy mieć czyste wyobrażenie w sprawiedliwości porządku, reszta niewoli ludzkiej, wadła, niesłuszność zostaje przyzwiąt.

Być właścicielem człowieka jest najokazywniejszym dziełem zuchwałości i dumy, obrócić siły człowieka samej woli swojej rozkazem na swój pożytek jest to ofiarę uczynić swojej chciwości. Lubo niewola nigdy nie była tak wygodną służebnicą bogactwa, jak równa wolności używanie wspólne.

Idą jednak narody za przodem cerca swojego skazonego zuchwałości i łakomstwu, zbierają bogactwa wyznacając za narzędzie majątku swego cudzą niewolę, nie, podłość i nawet poniżające nędy, a opuszczają świętą powagę prawa człowieka, podług której wolne zuzycie sil jego w znaku wzajemnej umowy pod opieką prawa, więcej by w prawdziwych koźryciach wydawało wokrótania.

Rzecz szczególna w wieku oświeconym, że ludzie, ile ludzie czują prawda, a ile ludzie składający rząd kraju, nie śmieją oddawać sprawiedliwości prawdziwej. Polak w obszarnej ziemi, plemiennik północnych wywieziony, przedaje chłopca z ziemią, bo przywiązany do ziemi, daruje chłopca darem dlatego, że Opatrzność opatrzyła jakim talentem, czasem daruje mu wolność z dobroci serca, albo z kaprysu fantazji. Szczęśliwymby można nazwać wielk oświecony, gdyby tak skąd usiły ludzkie, aby i ci co panują mieli ludzi za ludzi, i ci co są w niewoli, aby w bogatych panach nie widzieli więcej, tylko majetniejszych obywateli, utenczas emancypacja miałaby wyraz w Dykjonarzu nie mając potrzeby zuzycia swego między ludźmi.

OBYWATELSTWO. Mieszkańcy kraju w jakimkolwiek narodzie są obywatelami; sposób ich życia zawsze wyrabia między nimi różnice i zakłada stany osobne. Stan państwa i szlachecy są naturalnym podziałem obywateli. Stan szlachcic tak trzeba uważać w stanie politycznym, jak w królestwie natury rodzaj kamienia, kamienie są zbyt martwe,

zimne, twarte i nieużyte, ale kamienie są arogie, nazywają się kiejnotami i ozdabiają piękność natury luazkiej. Stan zas pospolstwa jest jak w królestwie natury ziemia, która nigdy nie jest prożnąca, zawsze ugnaje swotoc roślin rozauz i nawet same jej chwasty, ciernie i głogi zostają pożytkiem; ta ziemia będąc depłana od ludzi, których żywi, może mieć we wnętrzu swoich kopalnie najrozleglejszych kruszców, z których nawet kupują się szacowne kiejnoty, ale te mny i nie zawsze są używane. Wyobrażenie ziemi, powszechniej matki w naturze, jest wyobrażeniem w obywatelstwie pospolstwa. Pospolstwo jest pracujące i żywiące narodu, same jego przywody, grubianstwa, prostoty, pijaństwa są użyteczne pożytkowi najlęższych tyte, nie z nędy jeanych może uyc korzyści dla drugich.

Zawsze deptana, mogą mieć między sobą najwięcej szonaterów, najdowcipniejszich mędrców i najlęższych męzów, ale to wszystko ukryte jak niny złota w ziemi.

Pokolenie nastaje i ustaje, czas trawi bytność luazką na ziemi, a przypadek rzadki pokazuje człowieka uia użytku ludzi w obywatelstwie.

SZLACHCIC. Nie jest w Polsce znajomstwu nad imię szlachcica, które oznacza osobny rod i osobne pokolenie w narodzie, szlachcic jest obywatel uprzywilejowany, jego nerby, genealogie, szereg przodków posiadających urzędy i dochody składają cutą chwotę i uwielenie imienia, w szynskiej tej zacności zasada i grunt jest rozlewanie krwi poprzedników, (jakby ci, co nie byli szlachtą, tylko wodę rozlewali nu wojnach) wywiezienie do tej zacności stany szlachecy, ponieważ ma wsparcie od zasług w imieniu, czemu tymże samym wymiarem sprawiedliwości, nie ma onydy od szkodliwych ofczyzny imienia? Kto posiada chwotę krwi przez stany i nacyniem ofiary w znaku religii, tak urzadz człowieka jest miejscem i nacyniem do wykonania cnoty w społeczeństwie zastużkach. Urzędy w swoim sprawowaniu się koniecznie pomieścić cnoty albo występk i obojętni być nie mogą. Urzędnik, będąc osobą powszechną musi być sprząwą szczęścia, albo przeszkodą do uszczęśliwienia. Urzędy w społeczeństwach powinny się dostępować z ohotą czynienia przystugi i zdatością przywotą do tego i naowczas to dopiero uszanowanie i nagroda powinna za nimi następować, tak jak cież za ciałem następuje wśród światła. Lecz doświadczenie nauca, że do dostąpienia urzędów powodem jest łakomstwo i pycha a miasto zdatości upatruje się urodzenie szlachecy.

Co zaś jest poniżające rozum i prawdę w natogu rządu krajowego i w przyjętym mniemaniu, to zapewne to, że nie nie znaczące urzędy są w powozaniu, a istotnie potrzebne, w których sprawowaniu zawisto bezpieczeństwo interesów publicznych (jakim jest urząd trzymających potę) są zaniedbane w znaczeniu.

Franciszek Salezy Jezierski

1) Cały ten ustęp jest nawiązaniem do Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela uchwalonej w r. 1789 przez rewolucyjną Konstytuante francuską, praw, na które głuchy jest szlachcic sejm Rzeczypospolitej, tj. Stany Rzeczypospolitej.

2) Mina — w znaczeniu: kopalnia.

pracy, że idzie za wskazaniem Lenina.

„Jak najmniej napuszonych frazesów, jak najwięcej prostej powszedniej pracy... Jak najmniej politycznego trajektania, jak najmniejszej uwagi dla najprostszych, ale żywych faktów budownictwa komunizytego...“ („Wielkie poczynie“), Dzieła Wybrane, t. II cz 2 str. 153 i 15).

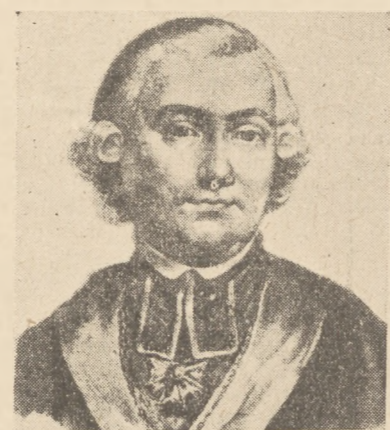
Poruszyliśmy kilka zagadnień jakiego wyłoniło się z przemówienia tow. Romana Zabrowskiego i z dyskusji na Krajowej Naradzcie Aktywu Wieleckiego ZMP. Zagadnień tych rzecz jasna nie wyczerpaliśmy. Ale i te nieliczne poruszone tutaj dają wyobrażenie o powadze i zakresie zadań, jakie stają przed nami na odcinku wiejskim. O zagadnieniach tych trzeba pisać. Trzeba nimi żyć.

Edmund Nizuriski

Jerzy Ziomek

„Wulkan gromów Kuźnicy” *)

Ks. Franciszka Salezego Jezierskiego nazywali współczesni „Wulkanem gromów Kuźnicy“, „prawą ręką Kollataja“, wsteczny mówili o nim „potwarca“. Był ów „Wulkan“ postacią, którą interesowała się cała Warszawa lat 1788 — 1791. Reakcjonisci zymali się na pisma, w których Jezierski gromił magnaterię i ośmielał się wystąpić z obroną chłopca. Bardziej postępową część izby poseselskiej oraz mieszczanstwo witali każdy nowy, dowcipny a złośliwy utwór księdza kanonika z nowym uznamem. Nie kładł Jezierski



Hugo Kollataj

— obyczajem wielu pisarzy tego czasu — swego nazwiska na kartie tytułowej swych prac — mimo to opinia umiała prawie zawsze trafnie rozpoznać w anonimie najbliższego współpracownika Kuźnicy Kollatajowskiej.

Pochodził Jezierski z drobnej, choć szlachcic, gęsto zamieszkałej ziemi łukowskiej. Szczególna to była szlachta. Herb i koniuszka podobne, „szaraka“ tak jak i zamoczonego ziemianina, ale ubóstwo zmuszało go nieraz do wysługiwania się panu. Przekazał z czasem Jezierski obraz życia takiej szlachty w „Współ autobiograficznym utworze pt. „Jarosza Kutasińskiego herbu Dębórego, szlachcica łukowskiego uwagi nad stanem nie szlachcicim w Polsce“ (1790).

Franciszek Salezy urodził się w roku 1743. Do szkół chodził prawdopodobnie w Łukowie, do pijarów. Zwykłym trybem, mając do wyboru karierę prawnika, żołnierza lub duchownego, został najpierw rejentem ziemskim. Najpierw, bo jak zobaczymy, próbował on kolejno wszystkich trzech zawodów.

Niechę się widło młodemu Jezierskiemu. Urząd rejenta był — jak wiemy — urzędem zyskowym. Dodajmy jeszcze, że w roku 1762 odziedziczył on, wraz z rodzeństwem, po ciotecznej siostrze cztery wsi. Jednakże — jak zaświadcza Kollataj we wstępie do „Niektórych wyrazów“ (1791) — nie czuł Jezierski „powołania“ do profesji prawniczej. Zaprzagnął wtedy zostać żołnierzem. Ojciec Franciszka trzymał w ordynacji ostrogskiej wieś Woronkowiec. Na wsi tej ciężko obowiązek służenia w hurskiej chorągwi, utrzymywanej przez ordynata. Ojciec więc oddał tę wieś synowi, który zaciągnął się do służby w husarii.

Zadne wojny nie targaly podówczas Rzeczypospolitej, amatora wojazki czekały rozleniwiające słodyczy dworskich zabaw pod bokiem księcia — ordynata Sanguski. Niepokojny to był duch — młody Franciszek. Nie mógł wysiedzieć na dworze i wyruszył, jako namiestnik chorągwi przeciw zbundetowanym chłopom na Ukrainę. Późniejszy obrońca chłopów z braku innego nieprzyjaciela walczył z hajdamakami.

Niewątpliwie nie był to ten sam Jezierski, który pod koniec życia zasłynął postępowymi, mądrymi pismami. Nie miał wtedy jeszcze czasu na lekturę i myślenie pan namiestnik hurskiej chorągwi. Żołnierskie hulanki, zabawy, uczy — oto co interesowało wówczas Jezierskiego. Wreszcie rozżalony wieś Woronkowiec. Wtedy przyszło opamiętanie. Jezierski postanowił porzucić służbę wojskową i zostać księdzem. Wstąpił do klasztoru OO. Misjonarzy w Warszawie, gdzie skończył seminarium i został wyświęcony na księdza. Po wypróbowaniu stanu prawniczego, dworskiego i żołnierskiego, po zasmakowaniu życia obozowego, którego tepota i beznadziejność nie zapaskajały żywego i ciekawego umysłu, Jezierski przyjmuje święcenia.

Specyficzną cechą polskiego oświecenia jest między innymi i to, że wielu zwolenników reformy, wielu postępowych pisarzy rekrutowało się spośród duchowieństwa. Była to prosta konsekwencja stanu szkolnictwa w Polsce przed reform Konarskiego i reform Komisji Edukacyjnej. Przeciwny szlachcic wybierający karierę prawniczą czy żołnierską, poprzestawał zazwyczaj na elementarnym wykształceniu. Wybitniejsi umysły, ludzie zdołni i inteligentni zdobywali wykształcenie częstokroć przez zawód duchownego.

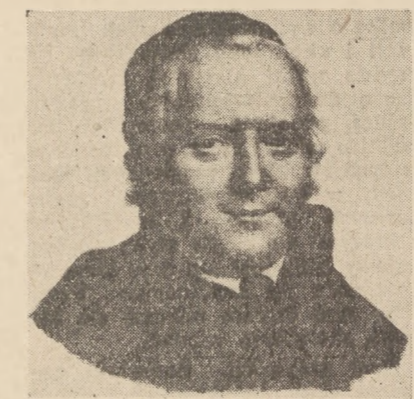
Dla wielu nie — szlachty, jak np. dla mieszczanina Staszica satana była jedynym awansem społecznym, wielu zostało duchownymi z woli rodziców, nie oglądających się na powołanie syna. Tak powstała dość liczna kadra pisarzy — duchownych, ludzi światłych i postępowych, któ-

rym święcenia kapłańskie nie przeszkadzały bynajmniej prawic w duchu deistycznych myśliceli wieku, a niejednokrotnie nawet występować wprost przeciw Kościołowi.

Z początkiem prac Sejmu Wielkiego w r. 1788 utworzył się w Warszawie pod kierunkiem Kollataja zespół publicystów, który współczesni nazwali „Kuźnicą Kollatajowską“. Najbliższym współpracownikiem Kollataja został ks. Franciszek Jezierski. Zamieszkał on w domu Kollataja na Solcu, w tzw. „pasztecie“. Zasłynął on niebawem jako radykalny publicysta i powieściopisarz. Zabrał się do pracy z niezwykłym zapałem. Rzucał na miasto i kraj — jak mówi niechętny mu Wolski — „odgłosy, pisma, druki, prasotrony i grozby, bezimiennie uszczypliwości i potwarca, w różną przybrała formę“. Iżce nowała się wiadomość — nie wiadomo czy prawdziwa — o tym, jak ksiądz Jezierski w klubie „Przyjaciół złączonych“ zamykał posiedzenia hasłem: „Co było na górze leżenie na dole, co było na dole, będzie na górze“. Jeżeli nawet to powiedzenie miało należeć do legendy, która wyrasta wokół wybitnych ludzi, to świadczy ono przynajmniej o tym, że współczesni wzięli w ks. kanoniku trybuna rewolucji. Sprawdzimy, czy siuszenie.

Był niewątpliwie Jezierski prawą ręką Kollataja. Wiedzieli o tym historycy, ale wyciągali z tego faktu zbyt pochopnie wnioski. Władysław Szułcinski w swojej Kuźnicy Kollatajowskiej pisze: „Program polityczny Jezierskiego od Kollatajowskiego nie różni się niczym“. Jest to twierdzenie niepoprawne i bardzo ryzykowne, a wywodzi się ono z fałszywych założeń metodologicznych. Poglądy Jezierskiego były oczywiście bliższe do Kollatajowskich, ale też w wielu punktach znacznie się od siebie różniły. Można wyraźnie wskazać problemy, w których Jezierski jest zgodny ze swym mistrzem i określić gdzie się od niego różni i gdzie, wychodząc z podobnych założeń posuwa się dalej niż Kollataj, staje się bardziej radykalny.

Problemem, który obaj pisarze jednakowo ujmowali, był problem magnaterii. Kollataj w latach sejmu czteroletniego w następujących po sobie kolejno pracach nieraz korygował poprzednio wypowiedziane poglądy, pocuwał się napród lub cofał, na magnaterię patrzył jednak



Stanisław Konarski

zawsze w ten sam sposób. Zawsze była ona dla niego ostoją reakcji krajowej, niezmiennie eskarżał ją o przekupstwo, utrzymywanie anarchii, doprowadzenie kraju do upadku, o spiski, zdrady, intrygi. Podobnie Jezierski we wszystkich pracach wytacza przeciw magnaterii najcięższe zarzuty. W broszurze O bezkrólowościach za ścisłością naukowca wykazuje zgrabną dla kraju rolę magnaterii w dziejach. W tym celu sięga do czasów sprzed oberalnych królów i twierdzi, że „możliwładztwo za panowania Mieczysława II przez swą zuchwałość przywiodło do zniszczenia naród“. Gotborek w założeniu jest powieścią o zdradzie, podłości i intryguach magnaterii.

Jezierski — powieściopisarz mógł rozwinąć atak na magnaterię na szerszej linii. Kollatajowi w jego pismach politycznych trudniej było rozwinąć oskarżenie od strony moralnej — do tego celu nadawał się lepiej z zapałem uprawiany przez Jezierskiego rodzaj powieści i pamfletu. Tak zatem zgodny ze swym mistrzem w poglądzie na magnaterię Jezierski uzupełniał Kollataja.

Podobnie całkowicie zgodny z poglądami Kollataja i całego Stronictwa Patriotycznego był stosunek Jezierskiego do zagadnienia oberalności tronu. Broszura O bezkrólowościach w Polsce za zabożenia, Goworek, Niektóre Wyrazy w odpowiednich fragmentach wspierały walkę Kollataja za wolną elekcję. Argumentacja była ta sama: elekcja jest dla magnaterii narzędziem ujarzmania politycznego szlachty, przekupna magnateria ciągnie zyski z handlu koroną polską. Zaprawiał Jezierski polemikę ze zwolennikami wolnej elekcji lapidarnym dowcipem i celną ironią.

To, co Jezierskiego wyróżnia od Kollataja i innych szlachciczych ideologów reformy, to sprawa samej średniej szlachty, problem szlachectwa.

wytłumaczyć korzyści płynące z sojuszu z mieszczaństwem, by uzyskać od niej aprobatę na dopuszczenie mieszczan do sejmu. Stał on jednak niezmiennie na stanowisku średnio szlachcica, gdy utworzeniem dwu izb osobnych: mieszczańkiej i szlachcickiej, wyposażonej w wieksze prawa, próbował zawarować szlachcic przewagę polityczną w kraju. Średnią szlachtę uważał Kollataj najwyraźniej za warstwę mającą w przyszłości do spełnienia wybitną misję historyczną. Był on przy tym wszystkich i tak bardziej postępowy od wielu działaczy Stronictwa Patriotycznego, którzy w ogóle nie chcieli słyszeć o dopuszczeniu mieszczan do sejmu.

Wiemy, że w czasie trwania obrad sejmu, nasroje warszawskiej ulicy były wrogie szlachcic, że w „klo-pach i kaftenhauczach“ rozprawiano o stanach, o zniesieniu w ogóle słowa „stan“. Najlepszym jednak dowodem, że w tym czasie musieli dojrzeć klasowa świadomość mas plebejskich, będą wydarzenia późniejsze, wydarzenia warszawskiej insurekcji, której najbardziej bohaterskie karty stanowią wystąpienia ludu warszawskiego: rewolucyjne egzekucie zdrajców — arystokratów i biskupów i na koniec bohaterska obrona stolicy przed wojskami carskimi.

Za tymi żywiołowymi wystąpieniami nie nadazała rzecz prosta świadomość. Docierały do Polski echa rewolucji francuskiej i jej hasła, które mobilizowały lud, ale do kodyfikacji programu wyrażającego interesy ludu w tak krótkim czasie dojść rzecz prosta nie mogło. Jest jednak charakterystyczną cechą wszelkich wystąpień ludowych, że posiadają one wielką siłę oddziaływania na najlepsze jednostki klas panujących, przeciągają ich na swoją stronę, lub co najmniej rodzą sympatyki. Dość przypomnieć polskiego Jakobina, bohaterskiego generała Jakuba Jasińskiego.

Było to niewątpliwie dziełem narastających nastrojów rewolucyjnych wśród mas ludowych, że zachwiał się pogląd Jezierskiego na szlachectwo. Zachwiał się, bo o przejsiu Jezierskiego na stronę ludu mówić nie można.

Zdawać by się mogło, że od drwiny ze szlachectwa niedaleko już do zdecydowanego opowiadzenia się po stronie plebejusza i chłopca. Tymczasem było inaczej.

Oceniając negatywnie rolę magnaterii w dziejach Polski, pasze ideologdy średniej szlachty stawali zawsze na stanowisku średniego szlachcica. Jego interesem mierzył Kollataj tak działalność magna a jak drogi rozwiązania sprawy chłopskiej. Inaczej Jezierski.

Publicysta — szlachcic przestawał się interesować chłopem, skoro tylko omówił żywotne sprawy i interesy rolnictwa w kraju. I dlatego trzeba docenić w Jezierskim chęć zajęcia się losem chłopca niezależnie od interesu szlachcica, tę umiejętność patrzeć na sprawę chłopca jako na problem sam dla siebie.

Pośluga się pochwałą chłopca jako ostoi obyczajów i języka narodowego Jezierski oskarża o kosmopolityzm arystokrację, nie szlachtę, której tych zarzutów postawić by nie można. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że autor nie przeprowadza tego rozróżnienia. Mówi krótko: „szlachta w całej Europie... jest podobna do siebie“. Czyny to oczywiste bez jakiegokolwiek zamiaru, jednak ten drobniak jest dość znamienny: pokazuje, jak Jezierski staje po stronie chłopca do szlachty zaczyna przykladać tę samą miarę, co do zleniawidzonej magnaterii.

W traktowaniu sprawy chłopca Jezierski różni się jak widzimy znacznie od typowego ideologa średniej szlachty, jakim był Kollataj. Kollataj przekonywał szlachtę o korzyściach czyniowych, przestrzegał ją przed złym obchodzeniem się z chłopem i wreszcie żęcznie żonglował frazszem humanitaryzmu. To wszystko znajdziemy u Jezierskiego, ale znajdziemy ponadto i coś więcej. Znajdziemy ostrą ironię, sarkazm, a nieraz pogróżkę.

Nie trudno spostrzec, że to wszystko, co jest w twórczości Jezierskiego najbardziej radykalne, zaprowone dowcipem, sarkazmem i ironią, ogranicza się wyłącznie do negacji, do strony krytycznej. Natomiast wszędzie tam, gdzie już trzeba postulować, gdzie nie można poprzestać na krytyce, satyrze, pamflicie, Jezierski zmienia się gruntownie, przeistacza się w... Kollataja. Tak, właśnie w Kollataja, właśnie Kollatajowski program rozpoznajemy w owym porównaniu społeczeństwa do organizmu ludzkiego. W tezie o konieczności otoczenia chłopca opieką prawa, ale i poprzestania na tym, bo przecież „kury nie będą się żywić brylantami“ itd. Tak zatem postawione na początku zagadnienie stosunku Jezierskiego do Kollataja można rozstrzygnąć w ten sposób: Jezierski wykracza w krytyce panujących stosunków daleko poza poglądy swego mistrza, w zakresie zaś postulatów przepisuje jedynie program polityczny Kollataja.

Inaczej być nie mogło. Przypomnę tu to, co powiedziałem wyżej o oddziaływaniu ruchów plebejskich na przedstawicieli klas posiadających. Burły chłopskie, nastroje warszaw-

skiej ulicy, nie mogły być pozbawione wpływu na ideologów szlachty. Jednych odstręcały od reform i spychały na coraz bardziej wsteczne pozycje. Najlepsze zaś jednostki spośród szlachty (należy do nich Jezierski, należy i generał Jakub Jasiński) pod wpływem żywiołowych ruchów plebejskich radykalizowały się, chociaż pochodzenie szlachcickie, wychowanie, siła tradycji, interes klasowy wpływały hamująco, nie pozwalały przejść na stronę mas plebejskich.

Jezierski wyszedł w ocenie wydarzeń politycznych poza program i interes średniej szlachty, przewycięził ograniczenia, jakie właścicielom folwarku nakładał interes klasowy. Ale doszedłszy do stanowiska krytycznego poczuł się osamotniony — nie znalazł stronniactwa i programu politycznego, który by można skutecznie przeciwstawić średnio szlachcickiemu obozowi reformy. Widział i uznawał prawo chłopca i plebejusza miejskiego do lepszego życia, wolnego od pańskiego bogactwa, ale nie dostrzegł potencjalnej przynajmniej rewolucyjności mas ludowych. Nie widział w ludzie przyszłej siły politycznej. Jezierski zaczął przalamywać szlachcicki sposób myślenia, ale go przelamać nie zdołał.

Najbardziej wartościowe w twórczości Jezierskiego, jest to, że wysuwając sprawę chłopca zawsze na pierwsze miejsce, umiał on tym samym dostrzec hierarchie ważności problemów epoki, że był on szczególnie uwrażliwiony na los chłopstwa polskiego, nie poświęcając mu osobnego rozdziału czy osobnego dzieła, ale wracając do niego nieustannie przy każdej okazji. Ostre i bezwzględne krytyki panujących stosunków, nie umiał Jezierski wysunąć żadnych własnych postulatów politycznych. Szczególnie przy problemie chłopskim ujawnia się ta słaba strona Jezierskiego, który stawia sam problem, ale nie umie go rozwiązać. Albo raczej korzysta z podsuniełego mu przez Kollataja rozwiązania, które nie odpowiada stopniowi radykalizmu Jezierskiego krytyka i pamflicysty. Dotyczy to również i innych problemów występujących w jego dziełach.

Drugą ważną zasługą Jezierskiego jest umiejętność odmiennego niż u Kollataja spojrzenia na szlachtę. W momencie, gdy szlachta staje się hegemone w walce politycznej, Jezierski nie waha się wypowiedzieć pod jej adresem wielu gorzkich i ostrych uwag. To stanowisko było jednak zarazem ostatnim osiągnięciem Jezierskiego. Odrzucając stanowisko średniego szlachcica Jezierski poczuł się pozbawiony oparcia. Niechętny szlachcic, nie mając własnego, powtarzał jej program polityczny. Nie przewycięził na tyle mentalności szlachcickiej, by widzieć w masach ludowych wielką potencjalną siłę polityczną. To było równocześnie jego zwycięstwem i klęską. Zwycięstwem krytyka szlachciczy i klęską bezprogramowości.

Pisma Jezierskiego ukazują się obecnie po raz pierwszy od 160 lat. Nie było rzeczą przypadku, że burzowniczy historiograf lekceważył Jezierskiego, że spychała go do drugorzędnych pisarzy epoki, że nawet najbardziej postępowi historycy burzowniczy, jak Szułcinski widzieli Jezierskiego za plecami Kollataja. Z Jezierskiego próbowano zrobić bez zastrzeżeń wyznawcę programu Kollatajowskiego, programu ugody i sojuszu szlachecy — burżuazycznego.

Jezierski zasłużył nie tylko na przypomnienie. Zasłużył, by — przynajmniej w swych najlepszych dziełach, jak np. Niektóre wyrazy — wejść do kanonu lektury szkolnej.

Jerzy Ziomek

*) Fragment wstępu do wyboru pism Franciszka Salezego Jezierskiego w oprac. Z. Skwarczyńskiego, który ukaże się nakładem PIW-u.

W poprzednim numerze

„WIES“ Nr 7 (290)

W. Udański — W natarciu. W. Małochek — Ku wiośnie. St. Cieślak — Początki rewolucji agrarnej. L. Borysow — Na wsi jugosłowiańskiej. L. S. — Pisma Nalkowskiego. W. Nalkowski — Ucieczka na „Jono natury“. L. Goliński — Nim zapiły koguty. P. Chmura — Kulak — faszysta. V. J. Jerome — Zródła rasizmu hollywoodzkiego. St. Piętak — Piętno hańby. Ta chwila, Na kartce. M. Salitykow-Szczerdni — Historia pewnego miasta. M. Pieczyński — Wielki demaskator. Z. Maczuga — „W Chinach urodził się Mao-Tse-Tung...“ E. Martuszewski — We Włoszech de Gasperi. D. Kępczyńska — Wieś węgierska na przełomie. J. Morga — Czy nauczył się ślimak? W. Stelmach — Rysunki i wierszyki. A. Wera — Działy redakcyjne. J. Wacziński — Gazetki powielane. P. P. — Zadania P. Pigwa — Trzeba dbać o „prawą rękę“. Stron 8. Ilustracji 20.

Młodzi gospodarze

(Dokończenie ze str. 1)

Czyżby ci panowie trzymali niewygodną dla siebie, bo zbyt wścibską, bojową i czujną młodzież — specjalnie przy biurku zdaleka od gospodarstwa?

I tu jest jak wszędzie pole do walki dla silnej organizacji ZMP-owskiej. Młodzi nauczyli się dostrzegać w swojej zwykłej pracy, w każdej powszedniej sprawie i codziennym zdarzeniu, głębszy polityczny sens. Wielka to rzecz, gdy proste powszednie sprawy urósł w oczach młodzieży do paersonujących faktów, którymi wartość się dzielić, gdy w swym codziennym „szarym“ życiu na wsi potrafia dostrzec bogatą treść budownictwa socjalistycznego, paos walki i przemian.

Oznacza to także, że młodzież przyswaja sobie bolszewicki styl

Wiersze o Puszkynie

SERGIEJ WASILIEW

Nasza sława

Gdy się wczytamy dzisiaj z serca drżeniem
W czarowną, żywą puszkiniowską pieśń,
Gdy przeżywamy z tym samym wzruszeniem
Jej słów dostojnych nieśmiertelną treść,

Gdy rozplomienia nas na każdej karcie
Miłość poety i surowy gniew —
Czujemy jasno, ostro, nieodparcie,
Że i w nas płynie jego mężna krew.

Bo to my przecież — z tegoż szczeru grona,
Wnieśliśmy szczęście do ojczyźnych stron.
To myśmy święte wyryli imiona,
Gdzie stał despoty niewzruszony tron.

To z nas wolności wyrósł duch skrzydlaty,
To nas idea zwarła w jeden krąg
I wyrastają śmiało kombinaty
Z bicia serc naszych i wysiłku rąk.

To myśmy w wichrów polarnych wygonie
Badawczych stacji rozniecili blask
I na Sybirze szczerpimy jablonie
I nawadniamy martwy step i głaz.

To każdy z nas dziś wreszcie stał się panem
Swych własnych losów i serdecznych snów
I tak, jak chciał, języki rozspiewane
Pojęły dziś wymowę jego słów.

To my z orłami przez błękitny mkniemy
I okrywamy ziemię płaszczem zbóż.
To na nas świat w podziwieniu patrzy niemy
Z wyniosłych miast i niespokojnych mórz.

To my glob ziemski, gdy nań faszyzm natarł,
Obroniliśmy od śmiertelnych dżum,
Bo to w nas właśnie widzi zbawców świata
Wyzyskiwany i gnębiony tłum.

To w nas ludzkości prawda i sumienie...
Słoneczny blask w gęstwinie mroków padł.
I puszkiniowskich strun bojowe brzmienie
Ojczystą chwałę naszą niesie w świat.

Tłumaczył Tadeusz Chrościelewski

MIRSAID MIRSZAKAR

On lud ukochał

Skarbnik legendy, baśni archaicznych
Poeta stroi instrument muzyczny.

Oto do ludzi kiszłaku pobiegła
Strofa odmienna nieco, bo odległa.

Właśnie przemawia przy wórze muzyki
Sam Puszkini w dźwięcznym tadżyckim języku.

I do obłoków niedalekich wzłata
Podobna orłom górskim pieśń skrzydłata.

Wiersz tak mi bliski w dniach młodzieńczych marzeń
Zaspiewał Tadżyk, siwowłosy starzec.

Wdzięczni słuchacze podchwycili lotem,
Na zboczach skalnym stojąc, pieśni motyw.

I nadleciawszy z pobliskich przełęcz
Ciepły wiatr ludzi w pieśni chciał wyręczyć.

Nad strzechą świata, nad węglami skały,
Gdzie nawet orły nie dolatywały,

Gdzie stoją lustra słoneczne — lodowce,
Błysnęły skrzydła w puszkiniowskiej strofoc.

On kochał takie podniebne pustynie,
Gdzie śmigle skrzydło ptasze nie dopłynie.

W żelaznym wieku, w katorżną noc ciemną
Z odwagą wolność wysławiał promienną.

I siły ludu, jego ziemi siły
W wiersze dzielnego poety wstąpiły.

On lud ukochał. Dlatego potomni
Wzniesli mu w sercach nieśmiertelny pomnik.

Tadżykistański poeta ludowy,
Głoś jego pieśni w brzmieniu naszej mowy.

LUBOMIR DMITERKO

Michajłowskoje

„Czemu się miota wiatr w parowie?“
(A. Puszkini)

Czemu się miota wiatr w parowie
Snieżycą okrywając świat,
Kiedy niepokój i w pustkowiu
I w świeży wiersz się wkradł,
Gdy w zawierusze nieprzejranej
Pielgrzym nie może znaleźć dróg
I w ojcowiźnie ukochanej
Obmierzył więźniowi domu próg?

Więc dziś zazdrości snów dziewczynie,
Żywiolom — mocy, ptakom — piór.
Czyż go na zawsze w tej krainie
Uwięził nakaz carskich biur?
Wiatr wieje, wieje przez pustynię
Przez zasypną wieś i dwór.

A w dali, za bezkresem białym
Żołnierzy udęczonych wzrok,
I drży Senacki Plac struchlały,
Przeczuwszy buntowniczy krok...
W sercach płomiennych swych i czystych
Wolności święty słysząc głos,
Z wyniosłym czołem dekabryści
Idą spotykać twardy los.

On z nimi, z nimi — w Piotrogrodzie.
Przez śniegi, przez rozległy szlak,
Ku lodowatej newskiej wodzie
Myśl jego wrzaca mknąc jak ptak.

SVIATOPLUK CECZ

Mickiewicz i Puszkini

Kiedy ojczyste zęgał progi
Ów Polak — wórcę wolnej pieśni,
Puszkini — druh jego i rówieśnik
Był już wygnanecm...

W los złowrogi
Piewę Ludmiły niosły konie
Nad Dniepr, po jarach i owragach,
A za nim wicher wiódł pogonie
I palil skroń i twarz mu smagał.

W krainie stepów i burzanów,
Gdzie niegdyś twardych bitew pożar
Pił krew rycerzy Lechistanu
I wolnych synów Zaporozja,

Gdzie zatarł dawnych walk mogiły
Step siwy, słońcem wykaszany —
Losy Zesłańców zespoliły
Carskie wyroki i kajdany.

Jednością wyzwoleńczych marzeń,
Przekleństwem słanym w noc tyranii
Zeszli się pieśni dwaj mocarze —
Natchniony Polak i Rosjanin.

Z dwóch ognisk wzbił się wspólny płomień
Serca się w jednym rytmie zbiegły,
Gdy uściśli sobie dłonie
Wieszcie Dni przyszłych, niepodległych.

Franciszek Zawada

Stalingrad!

BYŁ to rok 1918. Stalingrad nazywał się jeszcze wówczas Carjycynem. Przeciwno młodej władzy radzieckiej wystąpiła kontrrewolucja, białogwardystowskie szumowiny i kulactwo. Krwawym płomiennym rozgorzała wojna domowa. 14 państw kapitalistycznych wysłało swoje wojska dla rozwinięcia kontrrewolucji. Na rozkaz bankierów z londyńskiej City, nowojorskiej Wall Street, z Paryża i z Tokio idą miliony dolarów, funtów szterlingów i jen wraz z transportami materiału wojennego na utopienie we krwi „czerwonej zarazy“.

Carjycyn leży nad Wołgą. Na północ od niego jest drzewo, na południe pszenica, na zachód węgiel, na wschód nafta i bawełna. Kto ma Carjycyn w rękach, ten ma Wołgę, ten trzyma obrzymią wagę punkt strategiczny, i kluczowy podówczas dla stolicy państwa radzieckiego ośrodek aprowizacyjny. Przecież 28 wielkich spółek akcyjnych w Donbasie o 70% produkcji było własnością angielskich i francuskich wyzyskiwaczy. Przecież 75% fabryk metalowych Donbasu, Carjycyna, Rostowa do nich należało, choć były na ziemi rosyjskiej i rosyjski robotnik w nich pracował. Ale Carjycyn podobnie, jak cały kraj, jest teraz w rękach władzy radzieckiej.

Zniszczyć czerwoną Kartaginę, czerwone Verdun, jak wtedy nazywano Carjycyn, to znaczy przerwać rozwój radzieckich republik. 20 pułków białogwardyjskich i niemieckich uderza na Carjycyn. Jest w Carjycynie bohaterki proletariatu, a z nim Stalin. Trzy razy wróg atakuje miasto. Trzy razy dostaje cieżki. Nadchodzą nowe dla niego posiłki. Angliki bombardują miasto z samolotów i pociągów pancernych. Obrzycia jest przewaga liczebna i techniczna po stronie interwentów. Carjycyn bronil się do upadłego. Robotnik oddaje życie za młodą władzę radziecką, za swoją władzę, za wolność. Po roku heroicznych walk Carjycyn wraca w ręce władzy robotniczej na zawsze. Republiki radzieckie przepędzają ze swoich granic najmitów Churchilla, Deterdinga, Wilsona, Hirohito, likwidują Wrangelów, Koczaków, Denikinów.

Obraz, jaki widzieli żołnierze Armii Czerwonej przy wkraczaniu do uwolnionego miasta — to ruiny i zgliszczca, to słupy telegraficzne i skostniałe drzewa, obwieszane trupami, to piwnice, zawalone poduszonymi kobietami, pomiędzy innymi komsomolcami, to Wołga, składająca na brzegu tysiące ciał bezimiennych męczenników. Tak Wrangel, najemnik imperializmu, uczył kultury i cywilizacji. Ten sam obraz miał się odsonić na ziemi radzieckiej, kiedy nowi „kulturtirgerzy“ spod znaku swastyki ruszyli na wschód po Lebensraum. Ten sam obraz wy-

wolowały hitlerowskie bandy w swym pochodzie przez Europę: Wauer, Lidice, Oradour sur Glane, krematoria Oświęcimia, królki doświadczenia Buchenwaldu, ruiny Warszawy, abazury i rękawiczki, oprawne w skórę zamęczonych patriotów. Ten sam obraz ogląda dziś umęczony Phenian i Seul, tysiące miast i osiedli koreańskich, w których rozwijała się amerykańska „kultura“ i amerykański „styl życia“.

Rok 1920. W Carjycynie cholera i tyfus, spadkobierca białych. Rok 1921. Głód, bydo wyrżnięte przez najeźdźców, zdezastowane pola nie dają jeszcze plonów. Rok 1922. Carjycyn oddycha głęboko. Mijają lata. Carjycyn rośnie w siły. W roku 1925 przemianowany zostaje na STALINGRAD. Powstaje nowe, szczęśliwe miasto ludzi pracy, miasto potężnego przemysłu maszynowego i budowy traktorów, miasto staliniowskiego budownictwa.

Jest raneek 17 czerwca 1930 roku. Na polach, które przed dziesięcioma laty broczyły krwią, stoi olbrzym, wielka fabryka traktorów, zbudowana przez ludzi radzieckich własnymi siłami. Pierwszy traktor opuściła fabrykę. Stalingradzki traktor z fabryki imienia bohaterskiego Polaka, Feliksa Dzierżyńskiego, rozpoczął swoją służbę dla rolnictwa, rzu-

teżenia między siłami śmierci i siłami życia. Pablo Neruda w dalekim Meksyku rozlepia nocami na murach afisze. Na afiszach jego poemat. Nie, to poemat wszystkich ludzi, którzy pragną pokoju na świecie, skoro zaczyna się od słów: „MÓW CZY TO-CZY SIĘ JESZCZE WALKA W STALINGRADZIE“.

Mów, czy toczy się jeszcze walka w Stalingradzie? — wola lud chiński, walczący z japońską i amerykańską inwazją. Wola lud Vietnamu, który pod najeźdźcą japońskim już pogrzebał umarłych z głodu dwa miliony braci. Wola — Indonezja, Filipiny, Korea, Indie, Kauczuk, cyna i nafta, węgiel, miedź i złoto, żelazo, fosforyt i wolfram, ryż herbata i bawełna wydarte naszym krajem! Lud naszych narodów w niewoli kolonialnej! „Mów czy toczy się jeszcze walka w Stalingradzie?“ — wola proletariatu i rewolucjonizowane chłopstwo na dalekich lądach.

A w Europie? W katowni hitlerowskiej w forcie Mont-Valerien przed salwą egzekucyjną na usta skazanych wybiega ostatnie, zwycięskie słowo: STALINGRAD! Francuzi urzeczywistniają walę mosty i kreślą na przęściach: STALINGRAD! W Warszawie szaleje terror. Na ulicach „szare“ samochody, tapanki i egzekucje. Krew ochla-

szepczą dzieciom: módl się za Stalingradem.

Tak rodził się Obóz Pokoju, obóz milionów ludzi wszystkich narodów. Bo jak pisał Erenburg „ludzie Stalingradu ginęli za swoją wioskę rodzinną, za pieśń zastyszczaną w dzieciństwie, za lud radziecki, a jednocześnie ginęli za wszystkie wsie Europy, za pieśń wszystkich ludów i za ludzki całego świata“.

Czy wiecie, że w Stalingradzie o kilkaset i kilkadziesiąt metrów za pierwszą linią frontu pracowały radzieckie fabryki traktorów? Pod huraganowym ogniem artylerii, pod nieustannym bombardowaniem z samolotów. Między 10 stycznia a 2 lutego 1943 r. armia marszałka Rokossowskiego, syna robotniczej Warszawy, wykonując strategiczny plan Stalina, zadala ostateczny cios nieprzyjacielowi. Dwie główne armie niemieckie przestały istnieć.

Więść o zwycięstwie leci na cały świat. Spiewa Ludowa Armia Chińska nową piosenkę poety: „Stalin czuwa nad wami Nad waszym zwycięstwem,

[żołnierze
Ho, hay! Dlatego nad rzeką Jang
Wiosenny wiatr już w styczniu
[wieje“.

Od tego stycznia upłynęło 8 lat. Na pola radzieckie znów idą z wielkich fabryk im. Dzierżyńskiego tysiące i dziesiątki tysięcy traktorów. Powstaje gigantyczna budowla komunistyczna — stalingradzka hydroelektrownia. W kraju Rad przebijają się góry, łączą rzeki, ulepsza klimat, buduje „agorodny“. Oto drogowskaz dla wyzwolonych krajów, gdzie lud wziął władzę. Ale tam wszędzie gdzie ja wziął — pamiętajcie — kamieniem węgelnym wyzwolenia i rewolucji był STALINGRAD.

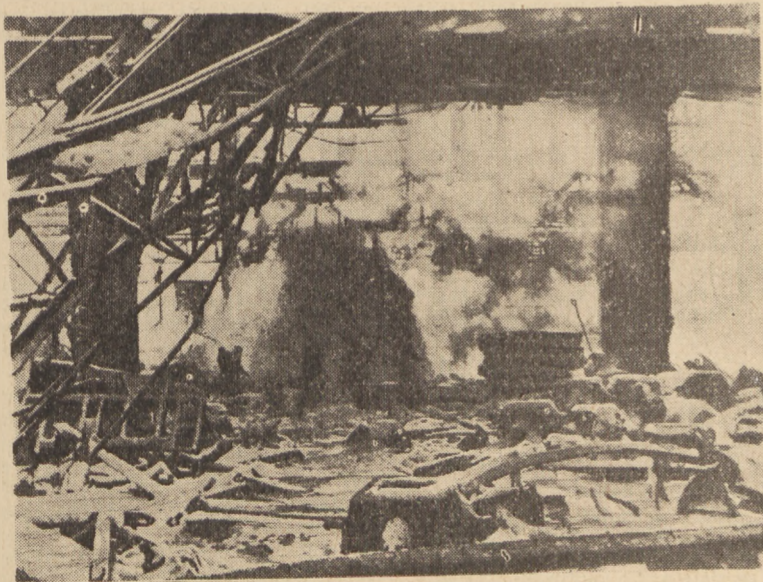
Dla krajów demokracji ludowych, dla Chin Ludowych!

A kiedy Malaje i Indonezja stają dziś w ogniu walk narodowo-wyzwolenicznych, kiedy Vietnamczycy przepędzają Bao-Daję wraz z kolonialnym grabieżcą, kiedy na Korei amerykański agresor cofa się przed broniącymi bohaterko ojczyźne ludem koreańskim, kiedy w Indiach, w Pakistanie wrze gniew ludu, kiedy jak mówi poeta:

„W ty!“ — wzywła Szanghaj w wyzwolonych Chinach
„W ty!“ — rozkazuje z nad skal oceanu

Zesłaniec Tauryzy i jeniec z Vietnamu“, nie zapominajcie, że nowymi siłami i nowymi marzeniami uskrzydlił lud „kolonialne“ STALINGRAD!

Kiedy we Włoszech i Francji wielomilionowe partie komunistyczne odkryły imperializm z Wall Street: nie będziemy walczyć przeciw Związkom Radzieckim, kiedy robotnicy Wenecji, Triestu, Marsylii, Barcelony i Hamburga w morze spychają eisenhowerowskie ładun-



Walki w ruinach fabryki traktorów w Stalingradzie (Foto A. P. I.)

cając się pod nowe, zwycięskie życie ludu pracującego. Za nim poszły setki, tysiące nowoczesnych traktorów, które jak pociski rozsadzają stary świat zacołania i nędzy, ściele drogę pod nowe, szczęśliwe życie dla milionów.

✱
Jest rok 1942. Świat, jak długi i szeroki usłuchuje się w odgłosy bitwy, która dosięga najwyższego na-

puje mury i zalewa napis: STALINGRAD! Na torach lubelszczyzny wylatują w powietrze pociągi wojenne, mknące na wschód. Macie Stalingrad! Trzeba osaczyć ALORCÓW w lasach zamojskich, bo już tu jest STALINGRAD!

W obozach śmierci, w Oświęcimiu, Dachau, Buchenwaldzie męczeni patriotci woleją: Stalingrad to wolność! W krajach okupowanych matki



Stalingrad — nowe budynki na terenie fabryki traktorów. (Foto A.P.I.)

ki broni, kiedy lud Francji, Włoch, Anglii i Niemiec Zachodnich wola: „Eisenhower, za Ocean!“ Kiedy węższe światowy Obóz Pokoju, a jego Rada wyraża na rzeczywiste Zgromadzenie Narodów — pamiętajcie, że temu wielkiemu frontowi pokoju i rewolucji, czyli woli do lepszego i spokojnego jutra początek dał STALINGRAD, bo „ludzie Stalingradu ginęli za swoją wioskę rodzinną, za pieśń zastyszczaną w dzieciństwie, za lud radziecki, a jednocześnie ginęli za wszystkie wsie Europy, za pieśni wszystkich ludów i za ludzki całego świata“.

Jeżeli w Niemieckiej Republice Demokratycznej rządzi lud i pod przewodem Wilhelma Piecka wskazuje wszystkim Niemcom nową treść jednoci narodowej, nową drogę pracy i walki o pokój, jeżeli poeta niemiecki zwraca się do naszej ojczyzny, której:

Dąbrowskiego lud i lud Bieruta
MAŁ HITLERYZM i wyzwolił w narodzie niemieckim siły ludowe i odrodził niemiecką klasę robotniczą.

A jeżeli dziś Waszyngtonowi nie wystarczają już nawet hitlerowscy

generalowie, jeśli Waszyngton potrzebuje teraz hitlerowskich fabrykantów śmierci, budowniczych pieców krematoryjnych, założycieli obozów śmierci — to cóż nam bardziej chronić wszystkich dzieci świata od nowego cienia wojny, nie miał tyle zapalu, tyle woli, tyle siły“.

Przypomnijmy raz jeszcze Stalingrad Rozszerzył on wolność narodów i ludów na jedną trzecią część świata, na jedną trzecią świata rozszerzył sprawiedliwość, gwarantując szczęśliwego życia i pokój.

Bo „ludzie Stalingradu ginęli za swoją wioskę rodzinną, za pieśń zastyszczaną w dzieciństwie, za lud radziecki a jednocześnie ginęli za wszystkie wsie Europy, za pieśni wszystkich ludów i za ludzki całego świata“.

Pamięć STALINGRADU to źródło naszego zapalu, woli i siły. Ale również niechaj pamiętają o Stalingradzie geseftciarze wojenni!

FRANCISZEK ZAWADA

Henryk Worcell

Uwaga, własność ludowa!

(Fragmenty z protokołu posiedzenia Rady Gminnej w Mokrzkach Górnych)

ZACZEŁO się całkiem konwencjonalnie. Najpierw nieodzwone zagajenie, potem wybór przewodniczącego i odczytanie protokołu z poprzedniego posiedzenia. Trwało to dosyć długo, sekretarz Prezydium, Pucławski, czytał powoli pięć bitych stron maszynopisu, więc ten i ów z radnych zapalał papierosa i w rozróżnieniu omiatał wzrokiem pajęczynę pod sufitem, niekiedy nachylał się do sąsiada szepcząc mu na ucho. Prawie wszyscy zebrani przyodziani byli w kurtki robocze, przysli tu wprost ze swoich obór, zdążywszy zaledwie umyć ręce i zmienić obuwie. Nawet sekretarz Komitetu Gminnego P.Z.P.R., Paździor, siedział w zabłoconych, gumowych butach, które były mu tak niezbędne w ten stłoty i błotny listopad. W rażącym świetle żarówki twarze i oczy tych ludzi wydawały mi się bardziej wyraziste niż za dnia, surowsze, poważniejsze, mądrzejsze. Przypatrzyłem się mimo woli zadawalem sobie pytanie, czy zdają sobie oni sprawę, jaką posiadają władzę, czy są świadomi, że większością głosów mogą powziąć uchwały, które przyspieszą wykonanie Planu 6-letniego, przeobrażą kraj, uczynią ten olbrzymi skok naprzód, który się nazywa rewolucją? O czym myśli Pan Witecki, sekretarz Podst. Org. Part. z Gradoszowa? Twarz jego chuda, o zapadłych policzkach i powiększonych przez okulary oczach, uparcie wpatruje się w jeden punkt na podłodze. Czy Witecki skupił uwagę wyłącznie na głosie Pucławskiego, czy może myśli jego ogarnia całą gminę, województwo opolskie, cały kraj jak długi i szeroki? A sołtys Gruska z Hodurowic? Naburmuszył jakos swą pękata, purpurowa twarz i swidrującymi oczkami strzela po zebranych, czasem mrugnie do kogoś porozumiewawczo — i wtedy wiem, że człowiek ten całym sobą tkwi wśród tutejszych ludzi i wśród spraw ściśle związanych z gminą Mokrzkiska Górna. Natomiast sołtys Karpel z Mokrzeskiej wtulił głowę między ramiona i wybażował oczy jak zając na miedzy, gdy go psy zachodzą. Obok mnie, pełniąc funkcję protokółanta, siedzi człowiek, z którym — licho wie dlaczego — najmniej sympatyzuję: to Hrynczuk, kierownik młynów w Gradoszowie i Bobrowniakach i zarzem przewodniczący dziesięcioletniego zjazdu, jego pewność siebie, swada i nonszalancja, z jaką przewodniczy zebranym, drażni mnie i imponuje zarazem. Ot i teraz gdy go jednogłośnie wybrano na przewodniczącego oświadczył zgrabnie, że stawia warunek: iż podczas następnych posiedzeń przewodniczyć będą coraz to inni radni.

jakby chciała coś ważnego powiedzieć, może prosić o przebaczenie, że dłużej nie może brać udziału w posiedzeniu; zmilczała jednak i zaafektowana, patrząc pod nogi poszła w ślad za oddalającym się gospodarzem.

— Znowu, psiać, w naszej gromadzie przybędzie jeden analafabeta — bąknął sołtys Gruska.

To chwilowe zamieszanie przedłużyło się jakby w pauzę, zebrani gęściej zapalili papierosy, podniósł się gwar rozmów, siedzący przy oknach spojrzeli na szyby, po których spływały lśniące krople deszczu.

— Proszę o spokój! — zawołał wreszcie przewodniczący Hrynczuk — Przystępujemy do punktu czwartego: sprawozdanie z działalności poszczególnych komisji. Pierwsza złoży sprawozdanie komisja rolna.

Mnie działalność tej komisji znana była stąd, że na podstawie materiału dostarczonego przez jej członków niedawno pisałem dla nich pro-

— a Wasz sztab spółdzielczy go... w „drobiezgi”? Co się tam dzieje, prezesse Turzycki? Wy to musicie wysłuchiwać i siebie też prześwietlić... i ja uważam, że dla dobra ogółu naszym obowiązkiem jest prezesa Turzyckiego ukarać przynajmniej ostrą naganą.

— Racja, racja — przytaknął sekretarz Paździor.

Sprawę poddano pod głosowanie i znaczna większość radnych zdecydowanie podniosła ręce w górę, zdającą naganą dla prezesa spółdzielni.

— Proszę to zanotować — powiedział do mnie przewodniczący Hrynczuk, a sekretarz Witecki błysnął okularami w stronę Turzyckiego.

— Wy, towarzyszu, nie miejcie do mnie urazy, bo to nie jest moja osobista sprawa. Chyba rozumiecie teraz, że mam rację. No, mam rację, czy nie?

— Może — odrzekł Turzycki, dmuchnął dymem pod sufit i mocno stłamsił butem niedopałek na pod-

Bo wiadomo, że jak rolnik nie sprzedaje zboża, to robotnik nie wybuduje fabryk. A ja tu widzę, że trójki gromadzkie i sołtysi nie pracują jak trzeba i sami zły przykład dają. Bo jak mi wiadomo, to sołtys Karpel ma zobowiązanie na trzydzieści cztery metry zboża, a dotychczas odstawił dopiero osiem metrów. A wy, Kustrzewa — wskazał brodą na radnego z Gorajec, który siedział obok Mikuly — też do trójki należycie, a nie odstawiłście jeszcze ani półowy zboża. I takich się więcej znajdzie. Ja powiadam, do czorta z taką robotą! Bo jak trójki i sołtysi nie wykonają planu, to co powie zwykły gospodarz? „Ty cheesz, żebyśmy ja zdał, a czemu ty chowasz zboże po strychu? Tyś chytry, to ja jeszcze będę chytrzejszy i nic nie odstawię!” Nie, obywatelu, tak nie może być. Do pierwszego grudnia wszyscy aktywiści, wszystkie trójki i radni i sołtysi i partyjni zboże muszą odstawić, plan musi być wykonany! A druga rzecz — to jest dowiedzenie — że w Gorajcach gospodarze sprzedają zboże rozmaitym przybłędom, kupcom wędrownym. Tu pół metra, tam metr, i tego się zbiera parę ton. To nie jest gospodarka socjalistyczna, tak robotnik nie można. Państwo musi mieć zboże w ewidencji, musi z góry wiedzieć, ile tego zboża jest do dyspozycji, komu go przydzielić, gdzie przetrzymać. I co jeszcze powiem, to mamy po gromadach bogaczy, którzy jeszcze nie mieli. Taki Smoczek w Gorajcach, taki Winkler, Łoboda i jeszcze inni dotychczas się z młocką wstrzymują. Pytam się, na co oni czekają? Bo jeżeli myślą, że w ten sposób zatrzymują zboże dla własnych kombinacji, to się grubo mylą. Robotnik na chleb nie będzie czekał! — tu Paździor uderzył dłoń w stół i milcząc chwilę patrzył na zebranych. Po czym znów zaczął jakby w zamysleńiu rysować kółka po stole i wreszcie skończył swą przemowę tymi słowami:

— Ja myślę, że do tych gospodarzy, którzy jeszcze nie mieli, powinniście wy sami przemówić. Takiemu Smoczkowi, takiemu Winklerowi nie miejcie się w głowie, że ktoś może patrzyć dalej niż na koniec własnego nosa. Możecie im powiedzieć, że jak się nie weźną do młocki, to zrobimy im omlot przysuwowy. Nie chcą sami, to im gromada omlóci. Skończył się ten czas, że jeden siedział na pełnych workach, a drugi patrzył i ślinę lykwał!

Utkwiły mi w pamięci twarze dwóch ludzi: radnego Kustrzewy i sołtysa Karpela. Kustrzewa na przytyk Paździora zareagował otwarciem, mocnym spojrzaniem, odniosłem nawet wrażenie, że coś w rodzaju hardości odbiło się w jego masywnej, wąsatej twarzy. Natomiast sołtys Karpel na dźwięk swego nazwiska drgnął oczami jak zając, który usłyszał zaledwie szczerkanie psa, i jeszcze mocniej wtulił się między ramiona. Nie trudno było mi się domyślić, co ten człowiek czuje: w domu całkowicie uległ żonie i teściowej, które nie pozwoliły mu odwieźć zboża do spółdzielni, tu zaś, jako sołtys i członek gromadzkiej trójki, chciał być w porządku wobec wymagań aktywu. Być może, liczył na pobłażliwość z racji swych zajętych stosunków z przewodniczącym Prezydium G.R.N., Patulskim, tymczasem — jak się w chwilę później okazało — właśnie tenże Patulski wystąpił przeciwko niemu w sposób zgoła nieoczekiwany.

JAN KOPROWSKI

Pozdrowienie dla gromad przodujących w skupie zboża

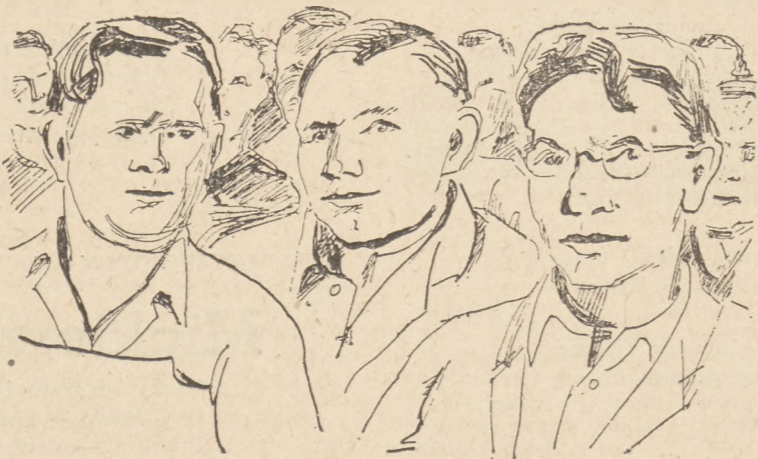
Do was z gromady Uszczyn, Łanów, Wólka i Woła, Belchatówek, Wy już dzisiaj — w lutowe rano sypiecie ziarno na przednówek.

Wasze zboże, trud i robota dla mas chłopskich, miasta, kraju. Już czas najwyższy wykryć sabotaż, gniewem się pięćsi wykreć zwierzają.

Jest jeszcze kułak skryty i wrogi, bogacz noszący w sercu żmije. Są jeszcze żyta pękate stogi, które mokinie, przepada, gnije.

Wam — ludziom przodującym gromad naród powierza sprawy swoje. Ziarnem wam dziś w spółdzielczych domach za Polską głosić, za pokojem.

Z waszej troski wyrośnie kraj nasz, życie matki, ojca i brata. Zboże na wozy! Do spichrzów ziarna! Pokój dla Polski — pokój dla świata.



Rys. Hanna Krejnk

tokół, który w tej chwili odczytywał radny Smolarek. Chodziło tam szczególnie o kontrolę przeprowadzoną w majątkach PGR i w magazynach Gminnej Spółdzielni, w wyniku której należało oczekiwać małej chry. Po pierwsze, komisja stwierdziła ponad wszelką wątpliwość, że ziemniaki zakupione przez spółdzielnię leżą na wielkich kupach, zaczynają się psuć i zaparzać. Po wtóre, nawozy sztuczne, w szczególności saletrzak, pod wpływem wilgoci częściowo zgłaził się, częściowo rozmołkł, przez co z dnia na dzień traci na wartości. Po trzecie, węgiel, drobny, „warzech”, leży na placu tak szeroko rozsypany, że furmanki jeżdżą po nim, walczyłają go w ziemię, robą z niego błoto. Otot pytanie: co zarząd spółdzielni zrobi, żeby te niedociągnięcia usunąć, szkody naprawić?

Odpowiedzi miał udzielić prezes spółdzielni, Turzycki, ku któremu zwrócił się wszystkie spojrzenia. Młody ten, trzydziestoletni może człowiek, w kurcie z futrzanym kołnierzem i w oficerskich butach, zapewne był przygotowany na odparcie zarzutów, gdyż swobodnie zwrócił się do stołu prezydielnego i lekkiem tonem jął tłumaczyć, że ziemniaki istotnie zaczynały się psuć, ale już ich nie ma w magazynie, bo zostały odstawione do gorzelni, co do saletrzaku i węgla, to on nie może odpowiadać za te rzeczy, bo przecież był nieobecny, przed paru dniami dopiero wrócił z sześciotygodniowego kursu. Zastępca zaś jego, ob. Wistysa, miał na głowie tyle spraw, że nie mógł wszystkiego dopilnować.

Gdy skończył, zaległo kłopotliwe milczenie. Jedni uważali, że tłumaczenie prezesa Turzyckiego jest wystarczające, inni może chcieli coś powiedzieć, ale nie mieli śmiałości, a co do Pucławskiego i sekretarza Paździora, to ci już zmyli głowę Turzyckiemu na drugi dzień po jego powrocie z kursu. Atoli siedzący dotychczas w milczeniu sekretarz Podst. Org. Part. z Gradoszowa, Witecki, podniósł swe rozszaloną okularami oczy ku światłu i rzekł:

— Pozwólcie, bo ja nie bardzo rozumiem... To jak to, towarzyszu prezesse, byliście na kursie? Sześć tygodni w Nysie, tak? A ziemniaki były jeszcze za was zmagazynowane i zaczęły gnić? A saletrzak się psuł, prawda? I z węgla się błoto zrobiło? To wszystko stwierdziła komisja, a wy tu, prezesse, tak sprawę przedstawiacie, jakby wszystko było w porządku. Wy na kursie, zastępca nie miał czasu, i dobrze. Ale gmina przeciw chce wiedzieć, kto za to odpowiada. Jak ja pójdę do komendanta straży pożarnej i zapytam, czemu w spółdzielni ziemniaki gniją, to mi powie: „idź, pytaj prezesa Turzyckiego, do mnie należą motopompy.” A jak pójdę do kierownika gospody i zapytam, dlaczego się nawozy w magazynie spółdzielni psują, to on mi powie: „moja sprawa pilnować, żeby obiady były smaczne, a o nawozy zapytaj prezesa Turzyckiego”. I do kogo bym nie poszedł, każdy mi powie: „idźcie do Turzyckiego”. I my dziś właśnie przyszli i nie możemy się od prezesa Turzyckiego nie dowiedzieć. A my się spodziewali, że towarzyszy Turzycki po to był na kursie aby zrozumieć, co znaczy gospodarstwo i politycznie taka jego niedbałość i „letkość”, powiedziałbym. Ja nie taki uczony, jak towarzyszy Turzycki, ale Zambrowskiego czytałem i rozumiem. Spółdzielnia gminna, kolego, to nasz most! A co wy z mostem robicie? Rozwalacie go i mówicie nam, że to nie straszno, bo wbródt też można przejść. Węgiel, nawozy, ziemniaki — taki duży most

łódze. Pomyślałem sobie: „to się dopiero zaczyna”.

Od dłuższego czasu obserwowałem dorywczo dwóch radnych siedzących pod oknem: Mikulę z Bobrownik i Kustrzewę z Gorajec. Obaj ujawniali duże zainteresowanie dla omawianych spraw, w tej chwili pochylali się ku sobie komentując z pewnością wypowiedzi Witeckiego. O ile sobie przypominam, to na poprzedniej sesji Rady tak Mikulę jak i Kustrzewę występowałi jako oponenti w sprawie skupu zboża, doszło nawet wtedy do ostrego starcia między Kustrzewą a przewodniczącym Prezydium GRN Patulskim. Dziś Patulski — pomijając jego krótkie zagajenie — głosił jeszcze nie zabierał. Siedząc przy stole prezydielnym między Pucławskim a Paździoriem namiętnie kreslił coś ołówkiem po papierze i od czasu do czasu rzucił bystre spojrzenie na zebranych. Młody jeszcze, sja-bło wykształcony, nie orientował się w zawiłych sprawach administracji gminnej i sam mówił żartobliwie o sobie, że jest „niegramotny”, natomiast znał dobrze swój teren i mieszkających wszystkich pięciu gromad, był przeto doskonałym uzupełnieniem „teoretyka” Pucławskiego.

— Uwaga! Proszę o spokój! — zawołał przewodniczący Hrynczuk — przystępujemy do punktu piątego: akcja skupu zboża.

Jakby prąd elektryczny przeleciał po zebranych; twarze Kustrzewy

nadwyżkę dały Hodurowice, w listopadzie albo w grudniu mogą dać Gorajce. Nie o to idzie. Powiadać, że rząd Polski Ludowej idzie chłopom na rękę. Ja widzę, że jeszcze więcej idzie na rękę tym, co przystąpili do spółdzielni i nie przeciwko temu nie mówię, bo jak już ten socjalizm ma być, to i spółdzielnie muszą być. Ale mnie się to widzi, kiedy powiadają do chłopów: dawaj całe ziarno teraz, w październiku i listopadzie! Rzucą robotę w polu, zostaw buraki na mrozie, a młóć tylko i odwoż do spółdzielni. Ja to rozumiem, że robotnik jeść musi i trzeba mu chleb dostarczyć, ale pytam się, czy ten robotnik będzie jadł tylko w grudniu, a w maju i czerwcu już nie będzie potrzebował? A druga rzecz: mówi się, że Państwo układa budżet na cały rok i wydatkuję pieniądze według planu, w styczniu tyle a tyle, w lutym znowu tyle i tak dalej. Ale Państwo tych wszystkich pieniędzy w kasie nie ma, te pieniądze dopiero napływają z podatków i innych dochodów. Tak samo jest u gospodarza. Mam wydatkować w ciągu roku, dajmy na to, 30.000 złotych i te pieniądze powinny mi napływać co jakiś czas, żeby mógł podatki i inne potrzeby opłacić. Ale jeżeli ja wszystko zboże sprzedam w październiku, to co będę sprzedawał na wiosnę? Skąd weźmę na naprawę wozu, kupię konia albo w razie — nie daj boże — jakiej choroby. Przecież to zboże, to jest moja gotówka.

— A kontraktowane świnię to co, a przychlewać i nabiął to nie? przerwał mi Patulski.

— Dobry to był przychówek i nabiął — podjął Kustrzewa — ale jak wy chcecie, żeby odstawił cztery tony zboża, to czym ten przychówek futrować? Pewnie, mnie by się lepiej kalkulowało śrutować jęczmień i chować dziesięć świń, ale ten jęczmień muszę odstawić do spółdzielni.

— To wam się kalkuluje — wtrącił sołtys Gruska — ale komu innemu nie.

— Tam w Gorajcach wszystko jakoś inaczey kalkulują!

— Handlarzom żyto po osiemdziesiąt sprzedają!

— Dłatego mają za co pić...

— Proszę o spokój! — zawołał Hrynczuk — Proszę zabierać głos po kolei. Kończcie Kustrzewa.

— Ja już skończył. Ja powiedziałem to, co prawda, a was tu pięciu mnie nie przekrzyknijcie.

W dymie podniósł się rozgwar, slychac było zmieszane okrzyki. „Co wy, co wy Kustrzewa!” — „No pewnie, ci w Gorajcach, to tak!” — i jeszcze inne, niewyraźne, zgłoszone. Wtedy sekretarz Paździor uniósł się nad stołem, samym swym wyglądem, rosią postacią nakazując milczenie. Uciszyło się.

— Jest rewolucja w Polsce, czy nie ma! — zadał dość nieoczekiwane pytanie — Idziemy naprzód, albo się cofamy! Po co jest rewolucja? Żeby naprawić to, co zle. A wy, Kustrzewa, chcecie żeby wyciął wródt i żeby nie bolało. Powiadać, że wam wygodniej sprzedac zboże na wiosnę niż teraz. Tak, wam wygodniej, ale jest większość takich, którym wygodniej, żebyście to zboże sprzedali dziś. Powiadać, że wam się lepiej kalkuluje hodowla świń, niżeli sprzedac jęczmienia. Tak, wam się kalkuluje, ale gospodarza socjalistyczna ma inną kalkulację, mądrzejszą i sprawliwieszą od waszej. Wy tylko wzdricie swoje podworko, chcecie najpierw gospodarstwo kułackie, potem dworek, a w końcu hrabiowski majątek? To jest wasza droga? Chcielibyście tą drogą iść, ale nie pójźciecie. Bo tu jest zakręt i stoi napis: „Uwaga, kraj socjalistyczny, własność ludowa, kapitalistom wstęp wzbroniony!” Chocbyście na głowie stawali, to dsley ze swoją tęsknotą nie pójźciecie. Dziś ja wam to mówię, ale jutro to samo wam powie wasz najbliższy sąsiad. I po co wam stawac w poprzek? Myślicie, że ja nie wiem, jaki głos macie w Gorajcach? Sprzeciwiacie się założeniu spółdzielni produkcyjnej. W Hodurowicach i Bobrowniakach też byli tacy, co się sprzeciwiali, a widziacie, spółdzielnie tam powstały i rozwijają się. I głowę daję, że w Gorajcach też spółdzielnia się zawiąże. Najpierw w Gradoszowie, potem w Mokrzkach, a choćby na

końcu w Gorajcach. I poci stajecie w poprzek? Co wam z tego przyjdzie? Opóźnicie rewolucję o sekundę? Wam ta sekunda nie daje, ale przez te sekundy tam, na Korei, ginie tysiąc ludzi! O tym trzeba myśleć, a nie o swoich kalkulacjach.

To ogólnie. A teraz co do waszego argumentu. Albo Wy sobie układacie budżet „na lewo” albo taki, jak inni uczciwi chłopci. Dla uczciwego chłopca jest jasne, że jak jego zboże towarowe równa się np. 100 tysiącom, to wziąć może te 100 tysięcy na jeden raz, a tak planować wydatki, aby mu starczyło. To jedno, a drugie. Dobrze Wam powiedzieli, że gospodarzka to i świnię, mleko, nabiął itd. i że zboża na skup oddaje, przepraszam — sprzedacie — tylko część. Ja Wam powiem, przed wojną biedni chłopci musieli sami na gwałt już jesienią wysprzedac wszystko, a wiosną kupowali, ho, ho, po wyrubowanych cenach, od takich, jak wy. I pytam Was — tego chcecie? Bo teraz i chłop biedny i robotnik są pewni, że przez cały, jak rok długi, chleb im przed gębą na cenie nie podskoczy.

Więc jeszcze raz pytam, czego chcecie — tego, co wczoraj, czy tego — co dzisiaj?

Nie wiem, co na mnie zrobiło większe wrażenie: słowa Paździora, czy milczenie, jakie zaległo, gdy skończył mówić. Zapomniałem o swojej funkcji, trzymałem ołówek nieruchomo nad zeszytem i słyszałem jak krople deszczu uderzały o szyby okienne. Wtedy ciszę przerwał jeden z najmłodszych radnych, Trybuną z Mokrzeskiej. Postawił wniosek, by Kustrzewę wykluczyć z trójki gromadzkiej, a na jego miejsce dać kogoś innego.

— Proszę to zanotować — usłyszałem głos Hrynczuka.

— A ja hym powiedział, że nie — sprzeciwił się wnioskowi Paździor — Mnie się tak coś wydaje, że Kustrzewa będzie pracował. Najpierw tamte swoje pełne worki odstawi do spółdzielni, a potem zabierze się do roboty i postawi Gorajce na pierwszym miejscu w gminie. Prawda Kustrzewa?

— A idźcie ty, czarciu... — odburknął Kustrzewa, odwracając swą masywną, zaczerwienioną twarz w bok.

Po raz trzeci tego wieczora wśród zebranych rozległ się śmiech, tym razem jakby orkiestrowo grzmący.

Wracalem powoli, chlupiąc butami w płytkich kałużach i wyciągając przed siebie rękę w obawie, by nie uderzył twarzą o jedną z lip rosnących szpalerem po obu stronach drogi. Daleko na zachodzie, w kierunku Nysy, migotały nikle światła stacji kolejowej w Mokrzkach, magazynów P.Z.Z. i Gminnej Spółdzielni. Gdzieś w tamtej stronie, trzy kilometry dalej, spią Gorajce. Spią dosłownie i w przenośni. Czy Kustrzewa, który w tej chwili zdążył tam rowerem, zagra gorajczanom pobudkę? Czy młody Stefczyk zdola rozbudzić tamtejszą młodzież, wyrwać ją spod ciężkich skrzydeł starej generacji?

Spośród mroku kłębiącego się konturami masywnych zabudowań, usłyszałem głos strażnika:

— Kto idzie?

— Swój... — odpowiedziałem — z posiedzenia Rady.

— Aha... Tu już czterech przejechało na rowerach

— A która godzina?

Skrzeszałem zaparkę — Dwunasta, dwadzieścia pięć.

Strażnik przy okazji przypalił papierosa i raz jeszcze zapytał:

— A co tam z Kustrzewą z Gorajec? Wyalilił się z roweru koło mnie i kłął na rower i na Gorajce. „W błoto leżę, choć mam rower” rozumiecie — wołał do mnie — w błoto, ale chociaż to zrozumiał. Dali mi szkołę. Jak wyciągnę Gorajce, to sam z błota wyleżę, rozumiecie?”

Tak do mnie gadał, tom zmiarkował, że coś ważnego było na Radzie.

— A było — rzuciłem znikając w ciemnościach — Wam teraz czystelnicy mogą dopowiedzieć, że w ostatecznym wyniku akcji skupu zboża Gorajce zajęły II-gie miejsce wśród pięciu gromad naszej gminy, w czym największą zasługę trzeba przypisać Kustrzewie.



Rys. Hanna Krejnk

— Zaledwie skończył, sołtys Gruska podniósł rękę na znak, że chce mówić. — Kierownikowi, nie gniewajcie się, ale wam powiem coś do słuchu. Wasz poprzednik, Mietulski, też prowadził kurs zeszej zimy i też nam obiecywał, że do wiosny ani jednego analafabety nie będzie. A tu przyszli do gminy dwie takie, co na kurs chodziły — Więckowa i Krzysztofka — i jak im Pucławski dał papiery do podpisania, to zebym nie skłamał, przez ten czas jak się podpisywały mogłem nie tylko papierosa, ale i fajkę wykurzyć.

Rozległy się śmiechy rechotliwe, tubalne, zaśmiał się też kierownik Pokrzywa i odpowiedział, że może być spokojny, gdyż dla tych niedouczonych będą osobne kursy i na pewno sołtys Gruska nie będzie musiał kurzyć fajki.

— Inna rzecz — dodał poważniejąc nagle — że ja tu jestem dopiero od września i ludzi nie znam. Jestem pewny, że znajduję się oporni, którzy na kurs nie zechcą chodzić. Rzecz jasna, zrobię co będę mógł, ale liczę także na waszą pomoc. Czy jest tu ktoś z Komisji Oświatowej?

Owszem są tacy: radna Kaszowska, akuszerka z sąwodu — i ja. W jednym z punktów dziesięcioletnich obrad mieliśmy oboje złożyć sprawozdanie z działalności naszej Komisji i poruszyć również sprawę walki z analafabetyzmem.

W tej chwili drzwi się otwały, wszedł woźny Karolek.

— Pani Kaszowska — zawołał od progu — przyjechali po panią!

— Skąd?

Zamiast odpowiedzi, zza drzwi i pleców woźnego wychylił się chłop niskiego wzrostu, z batem w ręce, w kurcie z podniesionym kołnierzem i mokrej od deszczu.

— A, Majchrzak z Hodurowic — owożo się kilka głosów, które dodał: „Szczęśliwego porodu!” — a radna Kaszowska jąła szybko zabinać na sobie płaszcz i przeciskać się między krzesłami ku drzwiom. Tam zatrzymała się na sekundę, spojrziała w stronę stołu prezydielnego,

i Mikuly znieruchomiwały, okulary sekretarza Witeckiego zaśmiły w świetle żarówki, sołtys Karpel jeszcze mocniej przyczaił się ze swym zajęczym spojrzaniem — można się było domyślać, że ten punkt obrad będzie gorący. Co innego bowiem krytykować kogoś lub przysłuchiwać się krytyce, a co innego siebie wystawiać na ten gorący haliński. Akcja skupu zboża dotyczyła osobście każdego z radnych, każdy bowiem posiadał ziemię i zbierał z niej plony. — Ponieważ zapowiedziany przedstawiciel Powiatowej Rady, nie wiadomo z jakich przyczyn, nie przyjechał do nas, spodziewaliśmy się, że go zastąpi towarzyszy Paździor. Proszę...

Paździor podniósł się z krzesła i swoim zwyczajem pochylony, wsparł ty jedną ręką o stół, drugą rysował na nim jakieś kółka czy elipsy. Paździor wymownym nie był — Ja tu chciałem powiedziec parę słów... — zaczął spojierając spod czoła na zebranych — skup zboża, to nie jest zwykły sobie handelek na targowisku. Skup zboża w naszym ustroju, to najważniejsza rzecz dla Państwa! To jest podstawa Planu Szczęścielnego!

Kustrzewa podniósł rękę na znak, że chce mówić. Wszyscy z zainteresowaniem zwrócili spojrzenia na jego ogromną, mięsistą twarz, sołtys Gruska mrugnął do kogoś, jakby chciał powiedzieć: „uwaga, Gorajce”.

— Nam tu sekretarz Paździor wytłuka — zaczął Kustrzewa — pomijając wypowiedź Hrynczuka — żeśmy zboże nie odstawiłi. Ze zaplanowane jest tyle, a wykonane za mało. Ze niby trójki źle pracują. Ja też należę do trójki i wiem jak robota idzie. Za miesiąc październik gmina nasza odstawiła zboże w 117%, to znaczy, że dała 17% nadwyżki i przez to zajęliśmy drugie miejsce w powiecie. Więc nie można mówić, że trójki przez ten czas próżnowały. Bo jeżeli jest nadwyżka...

— Czekajcie! — przerwał mu przewodniczący Prezydium, Patulski — Z tą nadwyżką to nie tak... Owszem, nadwyżka była, ale ją dały Hodurowice i Gradoszów. Gorajcom do planu brakowało 15 proc. i te 15 proc. musieli pokryć inne gromady.

— Dobrze, niech będzie — zgodził się Kustrzewa — w październiku

Henryk Worcell

Wojciech Ścibor

Bolesław Lesman

Listy z prowincji



KIEDY piszecie o nas, ludziach Dolnego Śląska, zbyt często zapomina o tym, że są tu wciąż jeszcze dwa rodzaje ludzi, że walczą tu wciąż dwa style życia i pracy. Pierwszy z nich przynosi na te ziemie biedota wiejska i miejska, która z centralnej Polski lub zza Bugu przybyła do województwa wrocławskiego szukając pracy, chleba i awansu społecznego. Drugi przyniósł z sobą wysiadłszy z siodła byli obszarnicy, kupcy, fabrykanci oraz skompromitowani współpracą z okupantem sołtysy, wójtowie, kulańcy, którym po wyzwoleniu kraju stało się w ich rodzinnych stronach „za ciasno” i zbiegli na Dolny Śląsk nie raz przed odpowiedzialnością i karą a zawsze w poszukiwaniu łatwych zarobków bez pracy.

Walka o okiełznanie i likwidację tych pasożytniczych elementów wciąż jeszcze trwa na Dolnym Śląsku, a nawet zastarza się i przeradza w walkę z wszelkimi, przeżytkami kapitalistycznymi sposobu gospodarowania i myślenia we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Oto garść ostatnich komunikatów z tego frontu.

Sytuacja na kopalni „Wiktorii” w Wałbrzychu w pierwszym półroczu 1950 budziła poważny niepokój i głęboką troskę.

„Pod względem produkcyjnym i poziomu wydajności kopalnia „Wiktorii” zajmuje jedno z ostatnich miejsc... sytuacja na kopalni „Wiktorii”... powoduje, że całe Dolnośląskie Zjednoczenie Węgelnie nie może właściwie przekraczać planów... Podstawowa Organizacja Partynia na „Wiktorii” nie widzi poza planami i cyframi żywych ludzi, nie widzi załogi...” — stwierdzał na V Plenum K.C. P.Z.P.R. z poczuciem współodpowiedzialności sekretarz W.K. P.Z.P.R. we Wrocławiu tow. Marzec.

Obiektywne trudności, powieście. Niewątpliwie kopalnia „Wiktorii”, jak i inne kopalnie dolnośląskie ma pokłady węgla silnie sfaldowane, o dużym kącie nachylenia, bardzo niejednolite i skomplikowanej budowy, w dodatku o wiele większym niż na Górnym Śląsku, stopniu zanieczyszczenia węgla. Ale mimo tych „obiektywnych” trudności w początku roku 1951 kopalnia „Wiktorii” wysuwa się na czoło wszystkich kopalń w Polsce. Stąd 6 lutego br. brygadziści Bronisław Waitosz, poparty przez całą załogę, ogłasza list otwarty do towarzyszy górników i zobowiązanie wywołujące do walki o dalsze zwiększenie wydobywania węgla, o obniżenie kosztów urobku, o poprawę jakości węgla, a więc o wykonanie podstawowych kluczowych dyrektyw Planu 6-letniego. Kopalnia „Wiktorii” z pewnością w 1951 r. nie będzie się wlokła w ogonie, nie dlatego, że się zmieniły warunki pracy, ale dlatego, że zmienił się człowiek, zmienił się styl pracy załogi.

Po latach, w których nie jedną zwycięską cyfrę wpisaliśmy do osiągnięć Czerwonego Wałbrzyska jeszcze lepiej rozumiemy co znaczy węgiel... dla pokoju, dla gospodarki, dla budowy socjalizmu — pisze Waitosz, dziś 33-letni wykwalifikowany górnik, a jeszcze niedawno w r. 1945 jeden z wielu „spadkobierców” dwumorgowego gospodarstwa we wsi Jesionka pow. Krosno, wsi niegdysz deskami zabitej od świata. To Partia budziła i Partia teraz czuwa, aby inicjatywa Waitosza i innych nie poszła na marne.

Ta czujność Partii jest tym bardziej uzasadniona, że ośrodki robotnicze Dolnego Śląska są nowe, pozbawione miejscowych, przedwojennych tradycji walk rewolucyjnych, stale do nich dopływa (co roku ok. 15 tys.) potężny strumień ludności wiejskiej, przynoszącej nawyki i złudzenia drobnostawowej gospodarki.

W dodatku na te nowe ośrodki klasy robotniczej przez długi czas oddziaływały zarówno gomulkowszczyzna jak i nacisk prawniczych elementów b. P.P.S. mocno zagnieźdżonych na Dolnym Śląsku, które usiłowały podciąć hegemonię proletariatu i przedwziętość klasy robotniczej. Wystarczy wspomnieć, że jeszcze w 1948 r. na Dolnym Śląsku, gdzie sam przemysł zatrudnia ponad 200 tys. osób, na 2061 radnych Powiatowych Rad Narodowych, podstawowych organów władzy ludowej, było zaledwie 144 robotników przy 208 przedstawicielach prywatnej inicjatywy, bogatych rzemieślników i kupców.

W ostrej walce klasowej okrzyki i urosły nie tylko górnicy. Dość wymienić załogę zakładów przemysłu bawelnianego w Mirsku (pow. Lwówek), która osiągnęła w r. 1950 w walce o jakość produkcji 84% — I-gatunku, przy 2 1/2% braków, gdy dla całego przemysłu bawelnianego

przeciętnie wyniosły: 62% — I-gatunku i 13% — braków; czy Pa-Fa-Wag we Wrocławiu, który realizując hasło Partii: „więcej kobiet do produkcji” podniósł więcej niż trzykrotnie udział kobiet w składzie załogi, czy załogę zakładów Technicznej Obsługi Rolnictwa w Lubaniu, która pierwsza w całym kraju zakończyła już 7 lutego br. remont traktorów i maszyn rolniczych przed zbliżającą się wiosenną akcją siewną.

Cały kraj liczy na wzrost w sześciolecie produkcji przemysłowej Dolnego Śląska o 120%, czeka na produkcję 20 nowych kluczowych fabryk: chemicznych, maszyn elektrycznych, nowych kopalń metali kolorowych i nieżelaznych itp., którą ma dorzucić Dolny Śląsk w Planie 6-letnim do potencjału przemysłowego Polski. Doświadczenia roku 1950 i początków roku 1951 dowodzą, że się nie zawiedzie.

Ofensywa produkcyjna klasy robotniczej Dolnego Śląska wciąga i masę pracującego chłopstwa wsi woj. wrocławskiego, coraz szerzej do budowy socjalizmu. Ponad dwieście spółdzielni produkcyjnych pracuje już na Dolnym Śląsku, produkuje powiat Zabkowice z 43 spółdzielniami (z tego 28 założonych w styczniu br.). Pracują te spółdzielnie z planem 6-letnim w ręku, który żąda od chłopów Dolnego Śląska rzeczy nieludzkich: wzrostu hodowli o 89%, a zbiorów roślinnych o 41%, a więc ustala wskaźniki wzrostu znacznie wyższe od przeciętnych dla całego kraju. A jak przebiega realizacja dość wymiennie 18 spółdzielni powiatu Strzelin, które potrafiły już w pierwszym roku zespolowej gospodarki podnieść pogłowię bydła rogatego o 381 sztuk, owiec o 186 sztuk, a w planach z ha już w roku 1950 zbliżyły się poważnie (a w pszenicy nawet przekroczyły) normy przewidziane dopiero na rok 1955. Garnie się do tych spółdzielni — średniak, który stanowił bardziej jeszcze centralną figurę na wsi dolnośląskiej, niż w innych częściach Polski. On bierze pierwszą nagrodę we współzawodnictwie 14 tys. gromad w przedterminowym i ponadplanowym skupie zboża w r. 1950 (wieś Czechonów, pow. Góra Śląska). W ocenie wyników pracy grup hodowców i plantatorów Z.S.Ch. całej Polski zajmują I — (gromada Półwieś, powiat Jawor), II — (gromada Czarne, pow. Jelenia Góra) i III — (gromada Wierzchowice, pow. Strzelin) miejsc, występując z apelem do wszystkich chłopów pracujących w całym kraju o przedterminowe i ponadplanowe wykonanie planu skupienia zboża do 20 lutego br. (wieś Kręczków, gmina Borów, pow. Strzelin), wola na naradzie aktywno politycznego w Kłodzku: „Potrzebujemy kulańskim, a zboże się znajdzie”. Coraz więcej jest takich chłopów na Dolnym Śląsku, jak średniak Józef Wójcikiewicz, który tak mówił na zebraniu w Kręczkowie:

„Sprzedałem już państwu 43 metry zboża, to znaczy 6 metrów ponad plan. Ale po głębszym namyśle dośzedłem do przekonania, że nasz plan gromadzki był widocznie za mały, skoro większość gospodarzy mało i średniorolnych przekroczyła go. Tak na przykład Andrzej Bernas oddał ponad plan 12 metrów, Władysław Trzeciński na zaplanowane 37 metrów odstawił 49, Gracjan Chumicz odstawił ponad plan 11 metrów. Takich przykładów mógłbym podać wiele.

Przekonało to mnie i moich sąsiadów, że nasza gromada jest w stanie plan znacznie przekroczyć. Dlatego zobowiązuje się dostarczyć dodatkowo jeszcze dwa metry zboża i wyzwał do podwyższenia planu wszystkich chłopów naszej gromady”.

A jeszcze niedawno ci średniacy, zerkali w stronę nikolażykowskiego PSL (w samym tylko powiecie Kłodzko wydano 12 tysięcy legitymacji PSL), nie rozumiał przodującej roli klasy robotniczej, z zadowolaniem przyjmował oświadczenia działaczy politycznych, którzy pod wpływem odchylenia rozwoju, że w ustroju rolnym na Ziemiach Odzyskanych nie są żadne wieczne czasy żadne przemiany, nie chciał współpracować z biedotą.

Dzisiejszy średniak dolnośląski chętnie organizuje się do walki o przebudowę wsi w szeregach ZSL, które na Dolnym Śląsku w walce z kulakstwem, spekulacją i szabrem wyrósł na wieńcowe sojusznika Partii. Nie chce pozostawać w tyle za przemianami narastającymi w Polsce, porzuci kapitalistyczną drogę rozwoju życia wsi, chce budować podstawy socjalizmu, a widząc, że się w latach 1945 — 1949 dużo nauczył, dużo zrozumiał i umie budować.

Dzisiejszy średniak dolnośląski chętnie organizuje się do walki o przebudowę wsi w szeregach ZSL, które na Dolnym Śląsku w walce z kulakstwem, spekulacją i szabrem wyrósł na wieńcowe sojusznika Partii. Nie chce pozostawać w tyle za przemianami narastającymi w Polsce, porzuci kapitalistyczną drogę rozwoju życia wsi, chce budować podstawy socjalizmu, a widząc, że się w latach 1945 — 1949 dużo nauczył, dużo zrozumiał i umie budować.

Dzisiejszy średniak dolnośląski chętnie organizuje się do walki o przebudowę wsi w szeregach ZSL, które na Dolnym Śląsku w walce z kulakstwem, spekulacją i szabrem wyrósł na wieńcowe sojusznika Partii. Nie chce pozostawać w tyle za przemianami narastającymi w Polsce, porzuci kapitalistyczną drogę rozwoju życia wsi, chce budować podstawy socjalizmu, a widząc, że się w latach 1945 — 1949 dużo nauczył, dużo zrozumiał i umie budować.

Dzisiejszy średniak dolnośląski chętnie organizuje się do walki o przebudowę wsi w szeregach ZSL, które na Dolnym Śląsku w walce z kulakstwem, spekulacją i szabrem wyrósł na wieńcowe sojusznika Partii. Nie chce pozostawać w tyle za przemianami narastającymi w Polsce, porzuci kapitalistyczną drogę rozwoju życia wsi, chce budować podstawy socjalizmu, a widząc, że się w latach 1945 — 1949 dużo nauczył, dużo zrozumiał i umie budować.

Dzisiejszy średniak dolnośląski chętnie organizuje się do walki o przebudowę wsi w szeregach ZSL, które na Dolnym Śląsku w walce z kulakstwem, spekulacją i szabrem wyrósł na wieńcowe sojusznika Partii. Nie chce pozostawać w tyle za przemianami narastającymi w Polsce, porzuci kapitalistyczną drogę rozwoju życia wsi, chce budować podstawy socjalizmu, a widząc, że się w latach 1945 — 1949 dużo nauczył, dużo zrozumiał i umie budować.

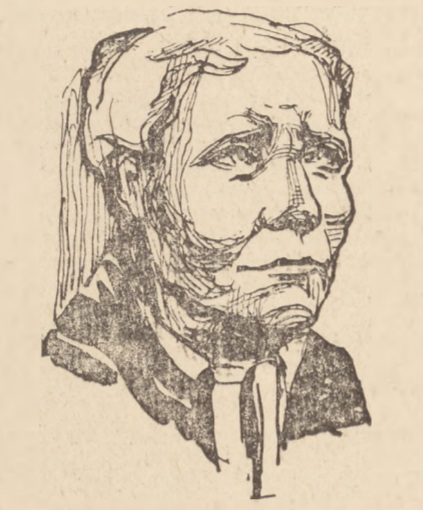
Dzisiejszy średniak dolnośląski chętnie organizuje się do walki o przebudowę wsi w szeregach ZSL, które na Dolnym Śląsku w walce z kulakstwem, spekulacją i szabrem wyrósł na wieńcowe sojusznika Partii. Nie chce pozostawać w tyle za przemianami narastającymi w Polsce, porzuci kapitalistyczną drogę rozwoju życia wsi, chce budować podstawy socjalizmu, a widząc, że się w latach 1945 — 1949 dużo nauczył, dużo zrozumiał i umie budować.

Wojciech Ścibor

Dyrektor Szymczak monotonnym głosem czytał sprawozdanie. Ożywiało się nieco tylko w momentach, gdy do odczytanych cyfr, mówiących o sukcesach osiągniętych w ubiegłym roku dodawał swoje komentarze. Komentarze te podkreślały jeszcze bardziej wymieniane sukcesy.

Obok niego, przy tym samym biurku, siedział dyrektor techniczny fabryki, Klimek.

Wszyscy pozostali uczestnicy narady utworzyli półkole naprzeciw dyrektorskiego biurka. Z lewej strony



Janiakowa

półkole siedział stary majster Nowakowski. Z postawy bardzo podobny do dyrektora Szymczaka, też niski i szczupły, różnił się jednak od swego zwierzchnika ostrzejszymi rysami twarzy, którą mimo wielu zmarszczek odmalowały silnie i stanowczo patrzące, jasne oczy. Oczy te śledziły bez przerwy każdy ruch warg dyrektora.

Następne miejsca przy nim zajmowało kilku robotników, wśród nich dwie kobiety. W środku półkole siedziała kierowniczką personalną, tęgawa kobieta w średnim wieku z urogowanymi policzkami i dość jaskrawo podmalowanymi ustami. Przy niej, nieco w głębi, siedział przewodniczący fabryczny ZMP, przystojny młodzieniec, o długich blond włosach i regularnych rysach twarzy. Dalej stało duże biurko, za którym rozsiadł się potężnie zbudowany urzędnik, okazałej tuszy, o rumianych krwistych policzkach pełniący funkcje protokolanta. Z lewej strony biurka rozłożył sobie kilka kartek papieru korespondent fabryczny, zaś z prawej, zajął miejsce przewodniczący rady zakładowej. Na prawym krańcu siedział pochylona starza już robotnica.

Była to towarzyszką Janiakowa, jedna z najstarszych robotnic fabryki, pamiętająca dobrze przedwojenne czasy i ciesząca się zaufaniem całej załogi. Wynikiem właśnie tego zaufania było to, że wybrano ją na sekretarza organizacji partyjnej. Było to niedawno — nie dziwnego więc, że nie czuła się jeszcze pewnie na tak odpowiedzialnym stanowisku. Siedziała, wspierając siwiejącą głowę kościstymi rękami, zrzadka podnosząc wzrok, by rozejrzeć się po twarzach zebranych. Gdy dyrektor skończył sprawozdanie, wyprostowała się, odczekała chwilę i mówiąc wolno, jakby zastanawiając się nad każdym słowem zachęcała zebranych do zabierania głosu w dyskusji.

— Mam na swoim koncie duże sukcesy — mówiła. Największym z nich było wykonanie planu za rok 1950 w przeciągu 10 miesięcy. Wiele jednak wszyscy, że plan na bieżący rok jest podwyższony prawie o 30 procent. Musimy się zastanowić jak go wykonać. Musimy omówić błędy, jakie popełniliśmy w zeszłym roku — a były naprawdę — żeby ich na przyszłość nie powtarzać. Im prędzej zlikwidujemy nasze bolączki, tym łatwiej będzie nam wykonać zadania drugiego roku Planu 6-letniego.

Rozejrzała się po zebranych i skłoniła głową w stronę kierowniczkę personalnej, która podniosła rękę do góry.

— Proszę mówić. Udzielam głosu towarzysze personalnej.

— Chciałam tu poruszyć sprawę, która nas wszystkich boli i którą powinniśmy jak najprędzej załatwić — zaczęła personalna afektowanym głosem. — Już minął rok, jak wyszło zarządzenie, że na terenie fabrycznym nie wolno mieszkac obcym osobom. A tu, na drugim piętrze mieszka sobie dyrektor Kolski z bawelnianych zakładów. Zajął jeszcze w 46 roku cztery pokoje — nikt nie wie jakim prawem i mieszka do dziś. Nie można go w żaden sposób usunąć. Znaleźliśmy mu już zastępcę mieszkanie na mieście, ale jemu było za wysoko, bo trzecie piętro no i pokoje były dla niego za małe. Nie mógłby się biedak pomicieć — ironia zabrzmiała w jej głosie — z żoną, służącą i dwoma psami. Nasi robotnicy gnężdżą się czasem po cztery albo pięć osób w małym pokoju, a on dla kanarka musi mieć oddzielny gabinet. Co go to obchodzi, że my musimy mieć zóbek, bo pracuje u nas prawie tysiąc kobiet.

Kilka osób potwierdziło podane fakty. Reszta zaczęła przypominąć o innych wybrakach dyrektora. W gabinecie podniosła się wrzawa. Po dwie, trzy osoby mówiły naraz, Sen-

ność, w którą zapadli zebrani podczas sprawozdania dyrektora Szymczaka, minęła bez śladu.

Cała ta wrzawa ucichła nagle, gdy zabrzmiął spokojny, ale donośny głos majstra Nowakowskiego. Był to głos sugestywny — od razu skupił uwagę zebranych. Nowakowski umiał mówić. Nabral wprawę na niezliczonych wiecach i masówkach robotniczych, na których przemawiał jako agitator nielegalnej KPP jeszcze przed wojną. Umiał też zmusić do milczenia tych którzy by chcieli mu przeszkodzić. Teraz zresztą nie musiał się zbytnio wysilać.

— Zdaje się, towarzysze — zaczął, — że nie mówimy o tym, o czym trzeba mówić. Bardzo ładnie, że pamiętacie o świetlicy i żłobku, ale ta sprawa stała już na naszej egzekutywie niejedną raz. Mówi się już o tym od 46 roku, ale do tej pory wszystko się kończy na gadaniu. To jest nasz żelazny repertuar. Jakbyśmy się towarzysze, wzięli za to, jużbyśmy dyrektora Kolskiego dawno wyrzucili. Ale o czym wtedy mówilibyśmy na zebraniach? — Spożył ironicznym na personalną i mówił dalej akcentując wyraźnie.

— Ta sprawa dzisiaj nie powinna nam przeszkadzać w wysuwaniu istotnych problemów. Myśmy się tu zebrali, żeby mówić o produkcji, analizować wykonanie planu, omówić krytycznie naszą pracę w zeszłym roku i szukać błędów, które trzeba usunąć. Zaczął się drugi rok Planu 6-letniego. Musimy pracować coraz lepiej. Musimy się uczyć na swoich błędach, bo inaczej będziemy stać w miejscu. Dyrektor Szymczak składał tu sprawozdanie. Mówił, że bardzo ładnie pracowaliśmy, że mamy sukcesy. Ale towarzysze, wiemy dobrze, że nie było i nie jest ładnie, jak to wygląda na papierze. Towarzysze! Trzeba nam uczyć, bolszewickiej krytyki i samokrytyki. Bez tego nie pojedziemy naprzód.

Ostatnie zdania były wypowiedziane z pasją i z namiotnością.

Przez dłuższą chwilę trwało kłopotliwe milczenie. Wreszcie podniósł rękę do góry niemłody już robotnik w granatowym, czystym kombinzie.

— Towarzysze — powiedział i zatrzymał się szukając słów. — Towarzysze! Mnie się też tak wydaje, że



Majster Nowakowski

my tu sobie tak gładko gadu, gadu, a nie wszystko jest tak dobrze, jak mówimy. Weźmy na przykład szkolenie zawodowe. Coś tam przez cały rok nie kłapowało. Niby szkolenie było, ale jakby go nie było. Czyja to wina? Jak tu poradzić? Ja myślę, że to ważna sprawa i egzekutywa powinna się tym zająć.

Dyrektor Szymczak, do którego skierowana była ta wypowiedź, zastanawiał się jeszcze, gdy wstała kierowniczką personalną.

— Chciałam, towarzysze, wyjaśnić tę sprawę. Wiele przecie, że do grudnia referat szkolenia zawodowego prowadził u nas stary Mroczkowski. Poczuliśmy człowiek, no ale nie mógł sobie dać rady. Stary, siódmy krzyżyk mu już szedł i ledwie nogami wchodził. Trudno było od niego więcej wymagać, niż robił. Ale jak poszedł na emeryturę, znalazłam na jego miejsce młodą, energiczną dziewczynę i ona już postawiła na nogi to szkolenie.

Usiadła zadowolona. Dyrektor Szymczak przesłał jej życzliwy uśmiech. Wyglądało że burza została zażegnana, ale z kolei poprosiła o głos młodą przewodniczką pracy z oddziału półkoczarski, od niedawna zasiadającą w egzekutywie.

— Ja się chciałam tylko zapytać, dlaczego u nas na oddziale tak się dzieje, że któregoś przewodniczką pracy się wyznaczy na instruktora, to zaraz dostaje mniejszą wypłatę niż miał przy maszynie. Dużo przewodniczek pracy nie chce przez to być instruktorkami i może dlatego jest źle ze szkoleniem.

— A dlaczego dostawali mniej? — zainteresował się Nowakowski. — Przecież należała im się przeciętna zarobków z ostatnich trzech miesięcy.

— No to widocznie Wydział Pracy i Placy coś skrewił — zadowolony się stwierdzeniem fakty dyrektora Szymczaka.

Janiakowa nie brała do tej pory udziału w dyskusji. Siedziała skłupiona słuchając uważnie wszystkich wypowiedzi i obserwując twarze mówiących. Od czasu do czasu notowała coś w swoim zeszytiku. Jednak

ostatnia odpowiedź dyrektora Szymczaka oburzyła ją.

— A czymże tu czasem sami nie zawnili, towarzysze? — rzuciła pytanie. — Zastanówmy się czy organizacja partyjna zrobiła wszystko, co do niej należało? Czy zainteresowaliśmy się tym, że szkolenie właściwie „leży”? Czy wiedzieliśmy o tym, że instruktorem dzieje się krzywdą? Czy mówiliśmy w przedwani kami pracy i czynimy ich uświadamiali, jakie są ich obowiązki i jakie prawa?

— Nowakowski zwrócił się w stronę biurka, za którym siedział obaj dyrektorzy.

— Towarzyszu Szymczaku. Chcieliśmy coś więcej usłyszeć na ten temat. W naszym sprawozdaniu wymieniliśmy tylko bardzo ładną cyfrę. Powiedzieliście, że 87 procent załogi, czyli wszyscy pracownicy zatrudnieni w produkcji są objęci współzawodnictwem. Cyfrowo lepiej być nie może, bo przecież urzędnicy albo straż przemysłowa nie mogą współzawodniczyć z robotnikami przy maszynach. Ale nie wymieniliście ani jednego przewodniczką pracy. W tym sprawozdaniu nie widać ludzi. Nie widać jak oni pracują, są tylko cyfry. A z samych cyfr trudno się zorientować jak sprawa stoi. Wymieńcie nam parę nazwisk najlepszych robotników i jaki procent bazy akordowej wykonują. Przynajmniej po jednym z każdego oddziału.

Dyrektor Szymczak strpił się tym pytaniem i zaczął czegoś szukać w leżących przed nim papierach. Szukając mówił:

— To chyba nieporozumienie. Nie uważałem, że trzeba aż tak szczegółowo robić to sprawozdanie. Najważniejsze, że nasze zakłady jako takie, wykonywały plan przed terminem.

Mówiąc ogólnikami, w które coraz częściej wtrącał wyrażenie „jako taki” we wszystkich możliwych przypadkach znalazł wreszcie wykaz przewodniczek pracy. Niesłody, w wykazie były tylko nazwiska, z pominięciem procentu wykonania normy.

Nowakowski nie ustępował. Dyrektor Szymczak patał się w nic nie mówiących tłumaczeniach, aż przyszedł mu z pomocą dyrektor techniczny.

— Mogę trochę z pamięci powiedzieć. 193 procent normy wyrabia Tokarczyk z półkoczarskiej maszynowej. To jest najlepszy wynik w naszej fabryce. Na innych oddziałach są przewodnicy, którzy osiągają od 160 do 180 procent bazy akordowej.

— Acha — uśmiechnął się Nowakowski i zaraz postawił następne pytanie. — A jaki jest najniższy procent wykonania normy i jaka część ze współzawodniczących robotników nie wyrabia swoich baz?

Przewodniczący rady zakładowej Marciniak, siedzący z prawej strony biurka protokolanta, rozumiał już, do czego zmierzają Nowakowski, i patrzył na niego z uznaniem. Sam robciozar, wyrobiony aktywista partyjny i związkowy, nie posiadał jednak tej zdolności łowienia w gąszczu cyfr potrzebnych danych i zardziścił tej umiejętności samoukowi Nowakowskiemu. Obserwował teraz uważnie dyrektora Szymczaka, który odpowiadał na pytanie starego majstra, nie wiedział jeszcze o co chodzi.

— Meldowano mi już, że są tacy, którzy nie wyrabiają nawet 50 procent normy i to przeważnie młodzi robotnicy. A biorąc ogólnie prawie połowa całej załogi jako takiej, nie wyrabia swoich baz. Tylko wiecie, towarzysze, nie chciałyby, żeby nasz korespondent pisał o tym do gazety, bo przecież ogólnie jest dobrze. Plan jako taki wykonaliśmy. A jak będzie w gazecie, to zaraz zaczną nas krytykować i diabli wiedzą co jeszcze: komisje, kontrole. A to przecież niepotrzebne.

Korespondent chciał mu odpowiedzieć, ale Janiakowa, prowadząca zebranie nie udzieliła mu głosu i skłoniła w stronę Nowakowskiego.

— Kończcie, towarzyszu, co zaczęliście.

— Tak to u nas wygląda — mówił Nowakowski spokojnym głosem z lekką ironicznie. — Niby wszystko jest dobrze, ale jak ruszyć w jaką stronę, to spią się braki jakby z dziurawego worka. Wszyscy biorą udział we współzawodnictwie a polowca załogi nie wyrabia swoich norm. To znaczy, że współzawodnictwo jest, ale... na papierze. A dlaczego nie wyrabiają — to nikogo nie obchodzi. Może nie chcą, a może nie umieją. Ja myślę, że potrochu jedno i drugie.

Marciniak Przew. Rady Zakł.

jest dobrze, ale jak ruszyć w jaką stronę, to spią się braki jakby z dziurawego worka. Wszyscy biorą udział we współzawodnictwie a polowca załogi nie wyrabia swoich norm. To znaczy, że współzawodnictwo jest, ale... na papierze. A dlaczego nie wyrabiają — to nikogo nie obchodzi. Może nie chcą, a może nie umieją. Ja myślę, że potrochu jedno i drugie.

„Leży” szkolenie i „leży” propaganda współzawodnictwa. A czy zastanawialiście się towarzysze jak mogłoby nam skoczyć w górę wydajność pracy, gdybyśmy podciągnęli słabszych. Co najmniej, średnio w całej fabryce o 15 procent. Tak sobie liczę na oko, skromnie.

— Poproszę o głos — przewodniczący rady zakładowej wstał energicznie z miejsca. — Towarzysze! Dużo przemyslałem teraz w czasie dyskusji. Powiniennem to zrobić wcześniej, ale jak to mówią: „lepiej późno niż wcale”. Nie będę się tłumaczył, że dopiero trzy miesiące jestem na tym stanowisku. Trzy miesiące to smądł czasu i co było złe, można było naprawić. Tylko, że myśmy o tym nie myślęli, bo najwięcej nas obchodziło zbieranie składek związkowych. A kiedy przyszły do nas robotnice z kotoniami i skarżyły się, że zeszywaćki zarabiają dużo więcej niż łączarki, chociaż te mają dużo cięższą robotę, to odesłaliśmy je do Wydziału Pracy i Placy, mówiąc, że to nie nasza sprawa. I z wszystkimi takimi skargami odsyłaliśmy dalej bez względu czy to byli kotoniarze, czy robotnice z rękawiczniami. A teraz słucham i sprawdzam: zeszywaćki, nawet te najgorsze, robią co najmniej 130 procent normy, a najlepsze łączarki ledwo wyciągają 108 — 110 procent. Czyście się zastanowili, towarzysze, co to znaczy? To znaczy, że wiele naszych norm jest zanizonych. A to demobilizuje załogę. W tym właśnie trzeba szukać przyczyny zniechęcenia do współzawodnictwa. Bo jak mają współzawodniczyć ci, którzy wkładają cały wysiłek, żeby zrobić 100 procent normy z tymi, co nie prawie nie robiąc, osiągając lekko 140 procent. Czyśmy tu zainteresowali naszą Zakładową Komisję Normowania? Bo jeśli oni nie nie robią, to naszym obowiązkiem było nimi trochę potrząsnąć.

Druga sprawa — przewodniczący rady zaczął teraz spokojnie, ale i tak po kilku wypowiedzianych zdaniach ponownie się rozgorączkował. Najgorzej u nas pracuje młodzież. Wiemy o tym wszyscy. Nie chcą się uczyć i nie chcą współzawodniczyć. Bumelanctwo u nich kwitnie. Paru już musieliśmy oddać do sądu. Ale sądz młodzieży nie wychowa — to jest zadanie naszej organizacji ZMP-owskiej. Co robi ta organizacja? Gdzie jest przewodniczący? Powinien być na egzekutywie!

Zebrani rozejrzeli się po gabinecie. Przewodniczący ZMP nie był. Personalna wyjaśniła:

— On tak zawsze ucieka z egzekutywy, kiedy widzi, że się przeciąga. Już nieraz mu zwracałam uwagę, ale on sobie nic z tego nie robi.

— No i patrzcie — uniósł się znów przewodniczący rady. — Czy taki lekkoduch może wychowywać młodzież? Świeć jej przykładem? Znalimy go od dawna — mówił akcentując każdą sylabę. — Wiedzieliśmy, jaki jest. Dlaczego więc egzekutywa, której obowiązkiem przecież jest opieka nad kołem młodzieżowym, nie wystąpiła do Dzielnic ZMP, żeby zarządzić nowe wybory? Towarzysze! Muszę tu powiedzieć, że i rada zakładowa i organizacja partyjna nie spełniły swoich obowiązków.

Usiadł i odetchnął, jakby mu kamień spadł z serca. Nastroj zebranych stał się przychylny. Powietrze w gabinecie przesycone było dymem tytoniowym z niezliczonej ilości wypalonych papierosów. Prawie wszyscy pogryźli się w niewesołych myślach. Dyrektor Szymczak ze słabo ukrywanym niepokojem patrzył na korespondenta: „Napisać czy nie napisać” — to go najbardziej dręczyło. Podobne myśli snuły się w głowie personalnej.

Milczenie przerwał Nowakowski. Wstał z miejsca i wystąpił krok naprzód.

— No i widzicie, towarzysze, jak to ładnie poszło. Nie ma się czym przejmować. Bardzo dobrze się stało, żeśmy sobie wygarnęli trochę prawdy w oczy. Wiemy teraz, czego się trzymać. Już się nie boję o nasz plan. Powiem jeszcze, że jest za mało podwyższony. Mam ogromne, nie wykorzystane dotąd rezerwy produkcyjne. Weźmiemy się do roboty. Postawimy na nogi szkolenie zawodowe, zrewidujemy zanizone normy, przypilnujemy Wydział Pracy i Placy, żeby się im tam nie „kręciło”, zaopiekujemy się organizacją ZMP-owską i to wszystko razem da solidny fundament dla współzawodnictwa. O wynikach naszej narady opowiem na najbliższym zebraniu fabrycznym całej załogi. Powiem im, że po zlikwidowaniu tych naszych błędów możemy się stać wzorową fabryką w przemyśle dziewiarskim. Sam postawię wniosek, żebyśmy nasz podwyższony plan na ten rok podnieśli jeszcze o 10 procent. Możemy to zrobić po usunięciu naszych błędów. Szybciej wykonamy Plan 6-letni. Jestem pewny, że nasza załoga podchwył ten wniosek z entuzjazmem.

Usiadł patrząc na rozpogadzające się twarze zebranych. Jeden tylko dyrektor Szymczak wciąż z niepokojem spoglądał na korespondenta. Głos zabrała Janiakowa.

— Towarzysze! Do mnie jako do sekretarza podstawowej organizacji partyjnej i przewodniczącej zebrania, należy podsumowanie dyskusji. Z zadowolaniem stwierdzam, że pod koniec stała ona na odpowiednim poziomie. Dała nam dużo krytyczn-

— Towarzysze! Do mnie jako do sekretarza podstawowej organizacji partyjnej i przewodniczącej zebrania, należy podsumowanie dyskusji. Z zadowolaniem stwierdzam, że pod koniec stała ona na odpowiednim poziomie. Dała nam dużo krytycz-

— Towarzysze! Do mnie jako do sekretarza podstawowej organizacji partyjnej i przewodniczącej zebrania, należy podsumowanie dyskusji. Z zadowolaniem stwierdzam, że pod koniec stała ona na odpowiednim poziomie. Dała nam dużo krytycz-

— Towarzysze! Do mnie jako do sekretarza podstawowej organizacji partyjnej i przewodniczącej zebrania, należy podsumowanie dyskusji. Z zadowolaniem stwierdzam, że pod koniec stała ona na odpowiednim poziomie. Dała nam dużo krytycz-

— Towarzysze! Do mnie jako do sekretarza podstawowej organizacji partyjnej i przewodniczącej zebrania, należy podsumowanie dyskusji. Z zadowolaniem stwierdzam, że pod koniec stała ona na odpowiednim poziomie. Dała nam dużo krytycz-

— Towarzysze! Do mnie jako do sekretarza podstawowej organizacji partyjnej i przewodniczącej zebrania, należy podsumowanie dyskusji. Z zadowolaniem stwierdzam, że pod koniec stała ona na odpowiednim poziomie. Dała nam dużo krytycz-

dalszy ciąg na str. 6.



Marciniak Przew. Rady Zakł.

Leonard Sobierajski

Pisarz i środowisko

(Dokończenie szkicu: „Reymont na progu pisarstwa”*)

W „ewolucji” pisarskiej Reymonta „Pielgrzymka do Jasnej Góry” stanowi przełom. Autor nie p.sze już z „siebie”, nie konstruuje swoich doświadczeń w obraz, który zadawał jego własne widzenie rzeczywistości („Śmierć”, „Frank”, „Tomek Baran”), Reymont pisze — jak staraliśmy się to przedstawić w ostatnich artykułach — na zamówienie ideologów burżuazji. W „Pielgrzymce” wnosi zdolność plastycznego rejestrowania zewnętrznej rzeczywistości: to jest ten najmłodszy Reymont, na którego stawia burżuazja tylko ze względu na dostrzeżony w nim talent; stawia, bo zna jego społeczne pochodzenie (drobnomieszczaństwo); stawia, bo zna siłę „swoich uroków”, którymi łatwo przeciąga na swoją stronę ludzi z warstw pośrednich. Nowy Reymont, ten zresztą nie i skrycie przygotowany przez „Głos”, a otwarcie i wulgarnie przez „Tygodnik Ilustrowany” — wniesi do dzieła zadatki burżuazyjnego widzenia rzeczywistości. Da to w rezultacie skłócony artystycznie obraz. Postaramy się to pokazać w naszym artykule. Problemem jednak, którym chcemy zająć się na początek będzie inna sprawa. Interesuje nas przede wszystkim „współdziałanie” środowiska na tę jego pierwszą próbę, którą chciał zaspokoić burżuazyjne zapotrzebowanie. Mówiliśmy już, że redakcja „Tygodnika Ilustrowanego” starała się stworzyć klimat zainteresowania dla pielgrzymich „wrażen i notatek” Reymonta.

Jest to religijność człowieka, niekiedy wątpliwościami i sceptycyzmem, religijność konstytucyjna, ustanowiona — nie zaś osobiste zdobyta po rozlicznych błędnych i debatach. Ten sąd o „Pielgrzymce”, jakkolwiek został sformułowany w 34 lata po napisaniu dzieła, zastępuje nam znakomicie w sposób już „społecznie zobiektywizowany” głos tych kół, które w zupełności określonym celem wciągały młodego autora „Śmierci” do kręgu pisarzy, których zadaniem było tworzenie nadbudowy dla feudalno-kapitalistycznych stosunków społecznych. Potwierdza to współczesna „naukowo-obiektywna” wypowiedź Z. Wasilewskiego:



Gierymski Aleksander — Trumna chłopka

Te wrażenia „sceptycznego” inteligenta, drukowane w „Tygodniku” (od czerwca 1894) szybko zmateriałyzowały się w książkę „Pielgrzymka” wyszła z początkiem 1895 roku, wywołując rzeczywiste duże zainteresowanie. Koncern Gebethnerowski działał sprawnie. Pojawiają się gruntuje recenzje, które pasują Reymonta na pisarza... pisarza, który potrafił „znaleźć się na fali”.

Dla rozpatrzenia „twórczej ewolucji” Reymonta odnotujemy kilka opinii o „Pielgrzymce”. Da nam to ciekawy materiał, na którym można sprawdzić, jak środowisko literackie, z którym się Reymont stykał, utwierdziło go na „nowej drodze pisarskiej”, bądź dawało mu znaki ostrzegawcze, w zasadzie akceptując sam kierunek pisarskich zainteresowań autora. Przytoczę tu trzy reprezentatywne opinie, wyrażające ocenę dzieła w oczach: radykalnej inteligencji (Krzywicki), pracowocno-socjalistycznej inteligencji (Lorentowicz), wreszcie opinie ludzi spod znaku endecji (Z. Wasilewski), zastrzegając sobie swobodę kolejności podawanych sądów.

Na początku chce przywołać jeszcze jedną, jak na ten etap twórczości Reymonta nakładała już z perspektywy całej działalności pisarskiej autora „Chłopów” krytyka burżuazyjna.

Zygmunt Falkowski, inspirowany w swoim spojrzeniu na „laureata Nobla” przez Adama Grzymałę-Siedleckiego i Zdzisława Debińskiego tak pisze:

„W roku 1894 Reymont odbył pielgrzymkę na Jasną Górę. W roku następnym wydał artystyczny pamiętnik z tej pielgrzymki. Jest to ważny dokument psychologiczny. Posiada dla charakterystyki osobowości twórcy wartość podwójną. Po pierwsze — stwierdza, że dusza artystyczna siedziała u Reymonta w oczach. Chłonnie on nimi po drodze wszystko: mijane okolice, spotykane postacie, dostrzegane zjawiska atmosferyczne. Po drugie — wykazuje jasno jak na dłoni, że Reymont jest urodzonym piewem uczuć zbiorowych, niezrównanym malarzem tłumów, opawanego żywiołową ekstazą. Po trzecie wreszcie wydobywa na jaw Reymontowską religijność.

„Utalentowany powieściopisarz p. Reymont, odbył piechotą pielgrzymkę z Warszawy do Częstochowy. Owoc literacki tej wyprawy nie należy jednak do literatury geograficzno-podróżniczej, albowiem pielgrzymka sama nie miała celów krajoznawczych. Autor podróżował nie sam; przylączył się do liczonej (z 4000 osób) złożonej kompanii pątników, dążących z pobudek religijnych do cudownego obrazu M. Boskiej Częstochowskiej. Ten tłum pątniczy był właśnie przedmiotem jego obserwacji. Kompania składała się z przedstawicieli kilku warstw ludowych płci obojczy. Była tam mazowiecka szlachta zagonowa, chłop z pod Warszawy, wreszcie drobni mieszczanie z Pragi. Lecz autor nie patrzy na nich oczyma etnografa lub antropologa; jest artystą i psychologiem, a interesuje go przede wszystkim jedna wada wewnętrzną tej masy: uczucie religijne, które ją, tak niejednolitą, skupia w jedno ciało i pędzi w daleką drogę, zniechęliwszy na udreczenia fizyczne.

Wrażenia i obrazy p. Reymonta, pochwycone i ułożone artystycznie, są poematem zbiorowego uczucia, dającym wiele wstrząsów estetycznych; nie znaczy to jednak, aby luźne obserwacje składające się na te obrazy, nie miały wartości dla etnografii.”

Tyle prawda społeczna. Zobaczymy teraz, co miał do powiedzenia na temat „Pielgrzymki”, „radykał” Lorentowicz, serdecznie zaprzyjaźniony z Reymontem, jego przewodnik po Paryżu w roku 1896, gdy autor „Komediantki” i „Fermentów” po sukcesach w kraju, zaczyna śladem „młodopolskich pisarzy” okres swoich zagranicznych wojaży. Swoją artykuł o pierwszym okresie twórczości Reymonta krytyk ujmuje w formę swobodnej rozmowy z autorem (jest to niewątpliwie rezultat istotnie toczonych rozmów na tematy literackie):

„Zrobiłeś nam wszystkim — zawołaliśmy — prawdziwą, ogromną przyjemność swoją „Pielgrzymką do Jasnej Góry”, nie dlatego żebym to pospiesznie listy uważał za arcydzieła „ani nawet za dzieła, na jakie się stać, ale sam temat jest poręczny. Czyż można sobie wyobrazić w literaturze pogoni za pomysłami co bardziej pojętym, jak przedstawienie prastarego, średniowiecznego zjawiska, które co roku odbywa się w naszych oczach z wytrwałością i niezmiennością zdumiewającą? Wnikanie w serca szarej rzeszy, co o głodzie i niedostatku „pędzi z dalekich stron na Jasną Górę, ażeby się wyżyć na swoje nędze i bóle, odczuć te wszystkie potężne dreszcze, te błogie nadzieje i złudzenia, to pomieszanie nadziejskich uniesień z codzienną zwierzchością — to przecież temat do olbrzymiego, wstrząsającego obrazu! Temat istniał od dawna, a dopiero po twojej „Pielgrzymce” zwrócił na siebie powszechną uwagę...”

„Ile razy wzdrasz się istotnie w tłum, ile razy drzyś jego dreszczami — masz i siłę, i szczerotę, i plastykę. Wyborne są Żydy z Turcji, na troskliwie, czy pielgrzym dojdzie w złych butach do Matki Boskiej; świętą jest rozmowa szlachlika zagonowego z chłopem; obrazem — kazanie starszego brata; barwnym — pesymistycznym — koń rozszalały, gdy wpada na kompanię i traktuje cztery kobiety. Dopiero jednak w ostatnim dniu pielgrzymki, kiedy tłum spogląda we mgłę wieży jasnogórskiej — wchodzisz zupełnie ton. Szkoda, że, znalazłszy się w samym kościele jasnogórskim wołasz: „Tutaj nie jestem w stanie dać nie — com uczył sam, zostawiam dla siebie”. Pomnę, jak przedziwnego wrażenia doznaje się w kaplicy jasnogórskiej, kiedy rozszalała ekstazą kompania wpada pół-przytomnie, rzuca się krzyżem na ziemię i jednym wielkim rykiem wali w sklepienia. Gdzie dziś w Europie znajdziesz taką scenę? Zamiast niej, wolałeś mszę w dniu wyjazdu i teatralny obraz cudu.”

Przytoczone opinie, te z prawa (Wasilewski, Falkowski) i z rzekomo z lewa (Lorentowicz) — są z sobą zasadniczo zgodne. Lorentowicz wyprowadza trochę grymasi, zarzucając autorowi, że niepotrzebnie wdał się w tę całą historię z ojcem Prokopem; „gdysieć to rozprawiali o „różnych kierunkach, panujących w literaturze i nauce” i o rzekomej „reakcji na korzyść katolicyzmu i wiary, jaką czuć wszędzie”. Takie ziewnięcia przysporzyły może abonentom piśmiu, uprawiającemu „bankructwo wiedzy”, ale w szczerzej obserwacji rażą jak niemily zgrzyt.”

Lorentowicz, współredaktora „socyjalistycznej” Pcbudki (1892) interesuje sprawa pielgrzymki jako „te-

łtumu, w którym był pierwotnie jako kropla tłuszczu na powierzchni wody, odlatania duszy swoich towarzyszy. Może nie zamierzając, dał on nam powyższy przyczynek do psychologii gromadnej.”

Krzywicki w swojej rozprawce potrafił jednak odkryć cały mechanizm praktycznego organizowania „ekstazy religijnej”, jaka ogarnia pielgrzymią gromadę:

„Istnieje też w kompanii hierarchia organizatorów, których zadaniem jest podniecać ducha, zagrzewać upadających, gromić krnąbrnych, walcząc ze swawolą i rozpustą. Oni to poddają pieśni, które swoim brzmieniem skracają mozoły drogi, oni to na noclegach czytają ustępy święte.”

Autor przywołał cytaty z „Pielgrzymki”:

„Gdzie wy idziecie, bracia i siostry — woła jeden z takich kierowników gromady o święcie pod krzyżem, karząc ją za dostrzeżoną swawolę. — Czy idziecie na jarmark? To czemu krzyż jest z wami? Czy do karzmów na zabawę albo na wesele? To czemu pobożne pieśni śpiewacie, imienia boskiego używacie? Bo wy nie idziecie na odpust, ludzie, nie! Na rozpustę idziecie, a nie do Matki Najświętszej!”

Krzywicki wyciąga dalej wniosek w kategoriach socjologa ze szkoły burżuazyjnej:

„Ci bracia starsi są to ludzie prości, ale umiejący przemówić do serc prowadzonej rzeszy i brać tony na tym instrumencie tworzącej się zbiorowości, dzielni w radzie, stanowiący w potrzebie”. Nie widzi on, że ci „bracia starsi” to zawodowi organizatorzy pielgrzymek do miejsc kultu religijnego. Znają ich starzy chłopscy korespondenci, jak chociażby 80-letni Piotr Wyrobek, który na łamach „Wsi” pokazywał takiego „brata starszego” — czerownego organizatora pielgrzymek do Kalwarii Zebrzydowskiej. Organizowanie tych „imprez” zapewniało mu warunki utrzymania, wyrównywało mu budżet roczny, wiązało wspólnymi interesami z plebanją. Krzywicki nie dostrzega, że jest to jeden z feudalnych przyżytków, z którego w kapitalistycznej epoce cignęła zyski określona klasa społeczna — właśnie kler i ludzie, żyjący w cieniu plebanii. Pielgrzymki „odpusty to jeden z elementów organizowania uczuć religijnych, jeden z elementów posiadający swoją wyrobioną technikę. Przesłanki do tego wniosku znajdujemy na kartach „Pielgrzymki”, podaje je zresztą sam Krzywicki:

„Istnieją po drogach przybytki, równie przeznaczone do oddziaływania w tym samym duchu. Są to kościoły, nieraz zwykłe, przydrożne krzyże. Tam kompania staje na czas jakiś, orzeźwi się w kąpieli podnieconego zachwytu, wzmocni swoje sily duchowe na dalszą drogę.”

Powiadzieliśmy już, że Krzywicki nie dostrzega klasowej funkcji „Pielgrzymki”. Na autora „wrażen i notatek” patrzy, jako na podmiot dotychczas i rejestrujący „psychologię” gromady pątniczej. Nie widzi natomiast pisarza, który celowo konstruowanym obrazem literackim włącza się w krąg organizatorów „pielgrzymich imprez”. Bo pod tym kątem zostało dokonane „niepisane” zamówienie pod adresem autora, które on dobrze wykonał, jak postaramy się to udowodnić w drugiej części naszego artykułu. Krzywicki traktuje Reymonta z całą naiwnością prostolinijnego, uczciwego człowieka:

„Da osoby zbyt wrażliwej, która nadto nie rozporządza wyrobionym problemem do sadzenia o doniosłości tego lub innego objawu w życiu społecznym, istnieje przecież w pielgrzymce pewne niebezpieczeństwo: jaźń zbiorowa chwytą ją w swoje szpony, ubezwładnia ekstazą i podsuwa ocenę, która będzie i być musi pochwałą. Wł. Reymont jest właśnie takim człowiekiem: polyka wrażenia, które zewsząd napływają do mózgu i w nim pozostawiają swój osad w postaci obrazów. Bezbronny wobec tych napastników nie może być bezstronny i przedmiotowym. Upojony falowaniem uczucia zbiorowego, zachwycony prostotą stosunków pomiędzy ludźmi, jaka obowiązują i panuje w gromadzie pątników, tbezwiadłny przez naiwną otwartość i brak konwencjonalizmów, otrzymane wrażenia kładzie na karb nie zawsze właściwej przychyny, ale przypisuje wpływ dogmatu. Nie chcę przez to powiedzieć — dodaje Krzywicki — ażeby autor pielgrzymki bronił tej tezy, lecz jego poczucie artystyczne wpłata taki na pół niewypowiedziany wniosek w opowiadanie i zabarwia je pewną niechęcią dla umysłowości, która niezachęca do siebie filozofię, mającą na wszystko z góry gotową odpowiedź”.

My przypominamy, że „Pielgrzymka” była drukowana na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” równoległe z rozprawą ks. Wł. M. Debińskiego: „Wielkie bankructwo umysłowe”, że udział Reymonta w pielgrzymce był pierwszą w naszej tradycji świadomego organizowania życia literackiego próbą wysłania pisarza w „teren”, próbą podjętą przez burżuazję dla zupełnego określenia celów, które nie wspólnego nie miały ze spontanicznym, „samorodnym” piarstwem; przypominamy ponadto, że sa to lata (1894) zaostrzającej się walki klasowej w naszym kraju i w całej Europie, że w Królestwie Kongresowym działała już wówczas zorganizowane partie robotnicze, jak i w całym świecie kapitalistycznym, że

sa to lata wreszcie silnego zrostu Watykanu z burżuazją, że burżuazja wtedy sięga po religię jako narzędzie obrony własnych, zagrożonych interesów. W tej siałce należy rozpatrywać funkcję dzieła, należy analizować jego elementy konstytucyjne w ich przesłankach ideologicznych i służącym im wyrazie artystycznym.

Jest rzeczą jasną, że Krzywicki nie oceniał „Pielgrzymki” z pozycji marksistowskich, i o to nie będziemy z nim toczyli sporów. Ważne są dla nas wnioski, jakie wysnuł on z analizy utworu, ważne ze względu na Reymonta w tym, co nazwalismy „sygnalami ostrzegawczymi”.

Krzywicki na końcu swojej rozprawki mówił: „Religijność więc ludu wiejskiego posiada właściwą swoją fizyonomię, która wpływa z warunków bytu... Naturalnie, póki istnieje osada włościńska, już przez sam swój ustrój gospodarczy skazana na rutynę, dopóty pierwiasek taki będzie tam istniał, skutecznie opierając się wszystkim oddziaływaniom ze strony ideologów sceptycyzmu (chyba szyfr ze względu na cenzurę, bo przecież sensowniej byłoby powiedzieć: ideologów marksistowskich — przyp. nasz. L. S.), choć bądź co bądź zmniejszać się on będzie, bo musi. I z drugiej strony, technika, dając kosiarkę zamiast kosy, żniwiarkę zamiast sierpa, usuwa znowu dawne pierwiastki fizjologiczne ekstazy i dąży do nadania jej innej postaci. A zatem objawy uczucia „religijnego są naprzód niezależne od dogmatu, powtórę zaś stanowią funkcję czasu i zmieniają się z ukształtowaniem warunków bytu.”

W kręgu przytoczonych opinii kształtowała się pisarska świadomość Reymonta. Późniejsza jego literacka praktyka pokazała, że poszedł po linii wytyczonych tej krytyki, która oceniała dzieło pod kątem interesów burżuazji. Blizsi mu byli: Z. Wasilewski, J. Lorentowicz, I. Matuszewski niż reprezentant radykalnej inteligencji polskiej — Ludwik Krzywicki.

Wdaliśmy się w tę długą analizę sądów o „Pielgrzymce”, aby wykazać, że autor na swoim etapie warszawskim (rok 1894 — 95) mógł korzystać z różnych wpływów, mógł wyciągnąć pisarskie wnioski z krytyki Krzywickiego — lecz ich nie wyciągnął, by przejść całkowicie na pozycje pisarskie związane z ideologią burżuazyjną. W kategoriach tej ideologii będzie on kształtował widzę w swoim fundamentalnym dziele — „Chłopi”.

Gdy w 1902 roku będzie pisał w Paryżu pierwsze partie swojej „chłopskiej epepeji”, taki list otrzyma od swojego, od czasów „Pielgrzymki”, wydawcy Wolf:

„Kochany Panie Władysławie. List Wasz z koźcem cz. I otrzymałem. Matusz. (ewski oczywiście — przyp. nasz. L. S.) chorował nieco, ale pisze o Was artykuł, w którym odwoła wszelkie dawniejsze zastrzeżenia (z okresu nowel „krosnowskich” — L. S.) co do Waszego talentu. Jednym słowem udał nam się Reymont! Oby tak dalej! Od N. R., gdy będę miał większy zapas „Chłopów”, będę dawał większymi partiami... Rb 250 złączam, jakkolwiek pragnąłbym na ostatnim razem nie już nie brać do czasu ostatecznego obrachunku. No, ale manną się w Paryżu nie żyje!”

Jakżeż zmieniła się sytuacja od czasów pierwszych kontaktów młodego autora z koncernem „Wolf i spółka”, gdy w styczniu 1894 roku odchodził on, autor „Śmierci” i „Franka” od drzwi redakcji „Tygodnika Ilustrowanego” bez grosza na obiad. Teraz zacypan pan Wolf sam naprasza się z pieniędzmi, no bo „udał nam się Reymont!”

Za swojego pisarza ma go i czytelnik, zaraz zobaczymy jaki:

„Kotlice, 3 kwietnia 1905 r. Tyszwowce, gub. Lubelska — Szanowny Panie.

Po przeczytaniu dwóch tomów, obecnie czytamy tu w Tyg. Ilustrowanym trzeci znakomitego utworu „Chłopi” Szanownego Pana z takim talentem i wielką znajomością ludu naszego napisanego tak jak nikt dotąd tego nie uczynił. Zachęcając się tą powieścią pragnęlibyśmy, aby przy tym, choć paru rysami, był przedstawiony proboszcz wiejski z dodatniej strony, bo dotąd w „Chłopach” przy fotografowaniu całego życia ludu, widzi się proboszcza tylko z biernej, lub nawet z ujemnej strony. A przecież bywają różni? jak i „dzieci” różne więc i o dobrym dziedzicu „słówko byłoby pożądanym”. — W „Requiescat in pace” ks. Z. Chelmskiego, jakże pięknie wiejski proboszcz występuje. — Darujmie Szanowny Pan, że ja hreczkosiej w siódmym krzyżku będący a profan w beletryście — ośmielam się narzucać Szanownemu Panu uwagi i myśli moje do dzieła tak znakomitego!

Z poważaniem Edward Rulikowski.”

W ten sposób zamykał się krąg wspólnoty: interesów, upodoban, funkcji pisarstwa. Trzy elementy: autor, wydawca, czytelnik — ludzie już jednej klasy. Dlaczego się tak stało? Dlaczego Reymont zdradził samego siebie z swojego „krosnowskiego okruszka”?

Dla ilustracji tego procesu przytoczymy fragmenty ze wspomnianego Lorentowicza o Reymonie. Czytelnik otrzyma w nich dwa obrazy autora, w dwóch różnych momentach jego życia.

„Teżoż dnia (rzech dzieje się w Paryżu 1894 roku, jeszcze przed

„Pielgrzymką” — przyp. nasz. L. S.), pod wieczer p. Sulicka podejmowała swych gości zezowych czarą na kawę, zdala od innych, pod ścianą stał w milczeniu młodzieniec w butach z cholewami.

Zaintrygowany, zapytałem świeżo upieczoną doktorki, kim jest ów tajemniczy pan.

— Młody literat. Przyjechał z Drzewieckim. Nazywa się Reymont. — Reymont?...

Wiedziałem o jego talencie, więc zaczętem odrazu lekko gościa, wyprowadziłem go na balkon, obsypałem komplementami za nowelę: „Śmierć” i „Frank”, które niedawno czytałem... Reymont był wzruszony. Rozgadał się szybko. Poprawiał wciąż niesforą czuprynę, mówił z zapałem o swoich planach najbliższych.

Zaprosiłem go nazajutrz na obiad i pokazałem Paryż. Dr Drzewiecki o swoim pupilu podróżnym mało pamiętał. Zabrał Reymonta do Londynu na własny koszt, ale zostawił go na bruku paryskim bez grosza. Po stósł w Paryżu trwał zaledwie kilka dni. Reymont pożałował oczyma dziwy wielkiej stolicy i rzucił kwiaty niekiedy krótkie słowa zachwytu: — Psiakrew! albo „Cho-lera!”. Przy rozstaniu dał mi z żarem obietnicę: — Ja tu niezapadłego przyladę!...

Przyjechał dopiero w końcu listopada 1896 r. Stał u mnie i przemieszkałszy razem kilka lat. W długich rozmowach z towarzyszem codziennym, stwierdziłem odrazu, że mam do czynienia z człowiekiem bez żadnego wykształcenia. Ogromny talent pchnął go na fale życia i Reymont niby gąbka, wssął chciwie wszystko, co słyszał około siebie. Skromny podróżnik sprzed dwóch lat zmienił się do gruntu. Był upojony powodzeniem „Pielgrzymki do Jasnej Góry”, „Komediantki”, „Fermentów” i „Spokonia”. Warszawski świat literacki znał na wyłot i wysłuchał o nim zdania bezwzględne. O swoich personaliach w „W” często i za każdym razem inacz... „Najwięcej przeżywał w modnej w owe czasy (dziś już nieistniejącej) „Cafe du Pantheon” przy rogu bulwaru St. Michel i rue. Soufflot. Zbierali się tam literaci polscy, czasowo zamieszkał w Paryżu: Konstanty Górski, A. Potocki, W. Kosiaiewicz, (przez jakiś czas Przybyszewski i Rydel) oraz gromada malarzy z K. Markiewiczem na czele. Gawędy kawierskie były dla Reymonta szkołą średnią, a częściowo i wyższą. Z nadzwyczajną chciwością chłonił w siebie wszystko, co posiadał... „Gdy nazajutrz przy rannej kawie, ośniewał mnie nabytymi świeżo wiadomościami, łatwo mogłem odróżnić źródła, z których pochodziły. Wieczorami zachodził niekiedy do musie - hallów, do cyrku; w teatrach nie był niemal zupełnie, bo nie nie rozumiał. Najchętniej spędzał wieczory u znanych. Przyjaźnił się z Dmowskim, p. M. Kiwickim i z „Batiniolami”, tj. z Polakami, mieszkającymi na Batiognolles, których w naszej grupie uważaliśmy za wsteczników. Tematów politycznych nie poruszaliśmy w rozmowach. Rażił Reymonta mój radykalizm. Wiele unikał dyskusji. Późnym wieczorem wracał do domu i czasem czytywał powieści polskie, najczęściej zaś zanurzał się w „Kurjerze Warszawskim”, który wertował od deski do deski, dowodząc, że ogłoszenia dają mu więcej wiadomości o życiu warszawskim, niż artykuły.”

Tak zamknął się pierwszy etap twórczości autora „Chłopów”. Składał on się z wyrażnych dwóch okresów: okresu „Śmierci” i okresu „Pielgrzymki”. Intencją naszego szkicu było pokazać czynniki determinujące piarstwo Reymonta w określonym czasie historycznym. Staraliśmy się odsłonić: pochodzenie społeczne, sytuację społeczną, wpływ ideologiczny. Na tym etapie jego piarstwa trudno było mówić o wpływach literackich, ponieważ dopiero po „Pielgrzymce” autor zaczyna się czuć literatem z zawodu, zaczyna się świadomie oglądać za wzorami, doradcy podsuwają mu lekturę; ślady tych lektur odnajdujemy już w „Fermentach”.

Jeśli czytelnika to zainteresuje a redakcja „Wsi” pozwoli, postaramy się w następnym numerze dotrzeć do rzuconej na początku artykułu obietnicy, i zanalizować „Pielgrzymkę” od strony jej sprzeczności wewnętrznych, które dają w wyniku skłócony wyraz artystyczny. Zobaczymy na tej analizie, jak narzucono ideologia wycięła z realistycznym widzeniem rzeczywistości, które cechowało buntującego się przeciw kapitalistycznym stosunkom młodego, przedwarszawskiego Reymonta.

Leonard Sobierajski.

* Patrz nry „Wsi”: 50, 51 (rok 1950), 4 (rok 1951).

1) Zygmunt Falkowski: Władysław Reymont, Poznań. 1929 (str. 28).

2) „Wista” 1895 (str. 429).

3) Jan Lorentowicz: „Młoda Polska” (II). 1909 r. (str. 116—119).

4) tamże, str. 117.

5) Ludwik Krzywicki: „Do Jasnej Góry”. „Prawda”, rok 1895. nr-y: 28, 29, 30.

6) „Prawda”, rok 1895. str. 28.

7) „Prawda” nr 29, rok 1895.

8) „Prawda” nr 30, rok 1895.

9) Przekład z rękopiśmiennej korespondencji archiwum Reymontowskiego — Ossolineum.

10) tamże.

11) Jan Lorentowicz: „Spojrzenie wstecz”, Warszawa, 1935.

Idzie o rok biejący

(Dokończenie ze str. 5)

go materiału. Część wniosków wyciągnął już towarzyszy Nowakowski. Ale to jeszcze nie wszystko. — Zajrzała do zeszytu i mówiła dalej:

— Dzisiejsza dyskusja wykazała, że nasza organizacja partyjna w swojej pracy zapominała o najważniejszym zadaniu, zapominała o produkcji i odwracała się od niej. Oderwaliśmy się także od ludzi. Nie wnikaliśmy w życie fabryki, w bolączki robotników, jednym słowem — chcieliśmy całą robotę poprowadzić z za biurka. I to się na nas zemściło. Gdybyśmy więcej żyli produkcją, moglibyśmy uniknąć większości popełnianych dotąd błędów. Stąd płynie dla nas nauka na przyszłość: Musimy zmienić styl naszej pracy!

Zebanie zostało zakończone i uczestnicy wstali z miejsc, tworząc kilka grup, w których omawiali jeszcze refleksje, jakie im się nasunęły podczas narady. Dyrektor Szymczak podszedł do korespondenta, który zbierał swoje notatki.

— Napisać o tym wszystkim? — zapytał. — Bo mnie się wydaje, że to są nasze „wewnętrzne brudy”. Wypraliśmy i po co o tym mówić? — Jasne, że napiszemy. Przecież ta narada dała bardzo ciekawy materiał, z którego mogą skorzystać i inne fabryki. Takie narady, na których analizuje się pracę ubiegłego roku, odbywają się obecnie w wielu fabrykach. Materiał z naszej narady pomoże im rozwijać własne trudności. Niech skorzystają z naszego doświadczenia.

Dyrektor Szymczak nie był jeszcze zupełnie przekonany.

Bolesław Lesman.

Dokumenty z tych czasów

Witold Billip

„W chwili smutku...” Bezrobotni Warszawy

Halina Rybicka

Pierwsze wydanie książki Brzozy^{*)} ukazało się w r. 1937, nakładem „Raju”. Powojenne wznowienie wzbogaciło autor o partie usunięte lub zniekształcone przez redakcję wydawnictwa. Nie tylko brutalność czy bezceremonialne kręctwo klasowej cenzury „Raju” sprawiły, że jak stwierdza sam autor, powieść „Budowali gmach” jest dla współczesnego czytelnika „tylko dokumentem w pewnym sensie historycznym”. Dokument ten jednak niewątpliwie przekonywujący.

„Budowali gmach” to historia powstawania osiedla mieszkaniowego dla urzędników. Konstrukcja fabularna powieści — w zasadzie jednolita — jest bardzo prosta. Bezrobotny murarz Andrzej Wytko dostaje pracę na budowie dzięki przypadkowej protekcji nadzorca technicznego robot. Wzięty przez właściciela i pracowników prywatnej firmy budowlanej oraz przez klikę drobnych „przedsiębiorców”, wieszających się przy budowie, za szpiega nadzorca mającego donosić o popełnionych nadużyciach, staje się ofiarą sprytnych gry. Po nieudanych próbach przekupstwa zgrana szajka rozpoczyna serię dokuczliwych szikan, licząc, że zaszczyc robotnik sam się usunie. Praca na budowie staje się jednak decydującą szkołą świadomości klasowej w życiu Andrzeja — osobisty konflikt z przedsiębiorcami ułatwia mu zrozumienie wielu sprzecznych kapitalistycznego wyzysku. Andrzej styka się z partią, postanawia walczyć — i kończy w więzieniu, jako „niebezpieczny element wyrotowy”.

To pobiżne streszczenie, zawierające tylko główny wątek powieści, nie wyczerpuje treści książki. Już od pierwszych stron czujemy, że głównym zamiarem autora było ukazanie prawdy o stosunkach w przemyśle budowlanym i w „społecznym budownictwie” w okresie międzywojennym. Z pasją odsłania Brzoza kulisy tej wielkiej afery, jaką było w owych czasach podobne przedsięwzięcie — widzimy gromadę szkali — różnych mniejszych i większych przedsiębiorców w walce o podział łupów. Szwindel, przekupstwo, wzajemne szpiegowanie się, wyzysk robotników. A obok, na polu, gromada bezrobotnych. Czekają. Są niepotrzebni. Ci nie dostaną pracy na budowie. Pokątni „przedsiębiorcy” polecają bowiem firmie „swoich bezrobotnych”, godzących się na wynagrodzenie protekcji „godziwym procentem” głodowych plac.

Tu demaskatorski realizm autora świeci triumfem. Światne są sylwetki zarówno ludzi „solidnej firmy budowlanej” — legalnych władców robotniczego losu — jak i małych piłkawk żerujących na marginesie ustroju, wyszukujących zarówno jego normalne sprzeczności jak i schorzenia — Przytomskiego, Ducampa, Linka. Szereg sugestywnych obrazów ukazuje codzienny dzień wyzysku na budowie oraz chwile wzburzenia i walki robotników. Najbardziej uderza swym realizmem i prawdą artystyczną opis betonowania stropu na akord. Pracująca maszyna — betoniarka stwarza w tym obrazie jakiś potworny rytm nieludzkiej pracy, bezsensownego, zwierzęcego wysiłku. Szybkiej, szybkiej, dostaniecie większą wypłatę — złudzenie! Więcej tylko zgrana kapitalistów.

Strajk. Tępy, zacięty upór robotników i krętkie intrzygi przedsiębiorców. Kapitaliści zwyciężyli. Mieli przecież wykształcenie, znali prawo i sposoby jego omijania, mieli do rozporządzenia policję, bał się ich oportunistyczny związek zawodowy, służył im sąd pracy.

Potworny wyzysk i bezskuteczne próby rozpaczliwej walki — oto co pokazuje książka Brzozy.

„Niestety, powieść jest pesymistyczna, gdyż takie były czasy i w takim nastroju był autor — mimo niezachwianej wiary w lepszą przyszłość mas robotniczych. Książka ta powstała w zwykłej, ludzkiej chwili smutku” — pisze autor we wstępie do przedwojennego wydania książki. Ten wstęp trzeba koniecznie przeczytać. Wyjaśni on wiele rzeczy.

Lewicujący pisarze okresu międzywojennego tworzyli w dusznej, przytłaczającej atmosferze szybko faszyzującej się Polski. Wyodcząc się w większości z mieszczańskiej inteligencji, odcięci od walczących mas robotniczych klasową barierą, widzieli całą podłość, cały bezsens otaczającej ich rzeczywistości. Nie chcieli jednak lub nie umieli pokazać klasie robotniczej drogi wyjścia, wezwać do walki. Nie pisali zresztą dla robotników, w warunkach kapitalizmu robotnik nie jest masowym odbiorcą literatury. Pragnęli raczej wstrząsać sumnieniami mieszczańskich czytelników. Stąd też atmosfera koszmarną bez wyjścia w książkach Boguszewskiej, Zarembiny, Górskiej — żeby wymienić kilka tylko reprezentatywnych nazwisk. Osobny nurt międzywojennego pisarstwa stanowiła tzw. literatura proletariacka. Borykając się z obciążeniami, wynikającymi z

ogólnej atmosfery literackiej okresu — z najgorszymi tradycjami żeromscyzny, z ekspresjonizmem, naturalizmem, dawali oni jednak w swych utworach prawdziwy obraz ówczesnego życia, odsłaniając jego istotne, klasowe siły napędowe, pokazywali klasową podszewkę konfliktów. W kręgu oddziaływań ideologicznych tego nurtu literackiego powstała niewątpliwie książka Brzozy. Dzięki swej śmiałej pasji oskarżycielskiej stoi ona bliżej Wasilewskiej niż literatury drobniomieszczańskiej „małego realizmu”. Autor nie tylko widzi zło, widzi także jego przyczyny i z całą pasją je odsłania. Już to tylko, że konflikt społeczny książki to konflikt typowy, o charakterze klasowym (walka pracy z kapitałem) że linia podziału przebiega jasno i bezwzględnie, że nie ma żadnej „trzeciej siły”, stawa się powieścią Brzozy w rzędzie najbardziej bojowych, klasowych ideowo, powieści dwudziestolecia.

Ale wrócić jeszcze do najważniejszej wady książki: pesymizmu. Pesymizm to jeden z najdonioślejszych „zwykłości” ideowych powieści. Polega on na słabości pozytywnego odpowiednika negatywnie przedstawionej rzeczywistości. Bo spojrzmy tylko. Czy postać Andrzeja ma w sobie tyle życia, tyle prawdy, co sylwetki małych a wszechpotężnych mikrobow rozkładających się kapitalizmu? A przecież Andrzej to najlepsza pisarsko postać obozu pracy. Brzoza niedwuznacznie sugeruje, że jedyną siłą, która staje do walki, są komunisty. Tak, ale jakże mgliście przedstawiona jest Partia! Braki w obrazie jej rzeczywistego działania łąca autor opisem zebrania, a właściwie przytoczeniem treści przemówienia na tym zebraniu. Przemówienie „małego człowieczka o śmiertelnie bladej twarzy, czarnych włosach i oczach” zawiera w piaskim skrócie program polityczny KPP. Jest to łatwizna, mocno przypominająca niefortunną scenę zebrania partyjnego w „Mieście nieujarzmionym”. Zresztą tę nawet słabą w wyrazie scenę usunęto z przedwojennego wydania, pozabawiono książkę nawet tak drobnego optymistycznego akcentu.

Aresztowanie Andrzeja w mokaję. Są niepotrzebni. Ci nie dostaną pracy na budowie. Pokątni „przedsiębiorcy” polecają bowiem firmie „swoich bezrobotnych”, godzących się na wynagrodzenie protekcji „godziwym procentem” głodowych plac.

Leszek Goliński

Tysiąc walecznych buduje Warszawę

Wokół wielkiej fabryki wyrastają dwa osiedla robotnicze, dwa bloki. Ale można raczej powiedzieć, że właściwym terenem akcji jest Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa. MDM pierwszy raz na scenie! Jest ona zapewne młodsza od sztuki Jana Rojewskiego, dlatego autor nie pisze o niej wprost, ale tej właśnie sprawie, dla której i z której powstaje warszawska MDM — poświęca swoje pióro i serce. „Tysiąc walecznych” — nowa sztuka Jana Rojewskiego — jest pierwszym prawdziwym poematem nowej, socjalistycznej Warszawy.

Tematyka ta nadaje dramatomu Rojewskiego wysoką rangę artystyczną i społeczną. Ale zarazem stawia bardzo wysokie wymagania.

Bo po pierwsze — dramat taki, przy zachowaniu pełni form scenicznych, musi zamknąć w sobie to wszystko, co nowe i postępowe, a co nieopierdnie czuje się na scenie. Bo — po drugie — dramat taki odmalować musi cały patos walki, która jest pracą, nie tracąc przy tym nic ze swego realizmu, ale pilnie strzegąc się naturalistycznego odchylanja. Bo — po trzecie — dramat taki musi wyzbyc się wszelkiego konwencjonalizmu, bo musi mówić o rzeczach wielkich językiem jak najprostszy.

Nielatwe więc zadania stają przed dramaturgiem, który porwie się na nową, współczesną tematykę. Tym bardziej, gdy terenem akcji czyni Warszawę, gdzie dokonuje się rzeczy niezwykłych zwykłymi środkami. Tysiąc walecznych, budujących Warszawę, to tysiąc robotników, tysiąc betoniarzy, zbrojarzy. Śladem dwu Brygad Kani — spotykamy tutaj walkę wioletolejnicy rutowy z rozentuzjazzmowaną młodocia, śladem Sofronowa spotykamy tu socjalistyczne konflikty, kiedy kierownik jednej placówki, jednego odcinka, jednej budowy, drząc o swój plan, nie chce użyć pomocy drugiemu współzawodnikowi, który tej pomocy potrzebuje. Rojewski w swojej sztuce nagromadził cały szereg takich konfliktów, którymi aż dyszy nasza współczesność: śmiało narysował więc rolę agenta, ale że w sylwetce zwycięzajnego osueta i złodzieja pozwolił dopatrzyć się znaku równania z sylwetką sabotażysty i dywersanta. Każdy sabotaż gospodarczy, obojętny dla jakich celów popełniony, jest zbrodnią, najsurowiej ściganą przez prawo, najsurowiej potępianą przez społeczeństwo. Prawda ta uwytknęła się jasno na tle drugiego i trze-

mencie jego pierwszego wystąpienia, w momencie gdy mówi on bardziej jeszcze dla siebie niż dla słuchaczy, by formułując słowa swego gniewu i krzywdy samemu sobie uświadomić lepiej sens przeżytych doświadczeń — uderza jako akcent beznadziejności wszelkich buntowniczych porывów. Wadliwie zresztą została postawiona sprawa przemówienia Andrzeja. To egzaltowana, nieprzemysłany wybuch, w którym Andrzej demaskuje się jako mechaniczna pozytywna agitator partyjny — „To on mówił teraz ustami Andrzeja, że klasa robotnicza musi skupić swe siły...” — to nie jest właściwa droga ukazania ideowego dojrzewania bohatera.

Mimo pewnych dłużyzn, zwłaszcza we wstępnych partiach, akcja powieści biegnie wartko, „wciąga” czytelnika. Język trochę chropawy, ale czysty i mocny, miejscami bardzo sugestywny. Ani śladu „jęziki”, po mesku pisaną powieść. Mocną stroną autora wydaje się dialog: każda z postaci mówi swoim własnym, dostosowanym do jej ogólnej sylwetki językiem. Brzoza unika statycznego opisu. Jego obrazy pisarskie są zawsze dynamiczne, budowane na elementach ruchu i zmian. Za przykład może tu posłużyć choćby pierwsza strona książki — opis podmiejskiego pola. Najlepsza chyba pisarsko partia książki — wspomniany już opis akordowej pracy przy betonowaniu stropów — to poważne osiągnięcie w zakresie tak pojętego obrazowania.

Powieść Brzozy w pełni zasłużyła na wznowienie. To dobra powieść. Będąc produktem „chwili smutku” mocnego i uciwiwego pisarza staje się dziś dla nas cennym dokumentem smutnych dla klasy robotniczej czasów międzywojennego dwudziestolecia.

Jeszcze jedno. Podczas okupacji czytałam powieść Jana Brzozy o dziejach wielkomięskiej ulicy. Książka nosi tytuł „Dzieci”. Pamiętam ogromne wrażenie, jakie na mnie wywarła. Czy i tej pozycji nie należałoby wznowić?

Witold Billip

*) Jan Brzoza: „Budowali gmach”, Warszawa 1950 „Książka i Wiedza” str. 237.80.

W Polsce Ludowej

Drugie po wojnie wydanie książki Janiny Brzostowskiej^{*)} świadczy o uznaniu wartości tej pozycji jako dokumentu literackiego, ilustrującego dzieje Warszawy kapitalistycznej.

Z jednej strony wielkomięskie tempo życia w dzielnicach ludzi bogatych, wytworne lokale, dyskretnie i ze smakiem urządzone wystawy magazynów, zapelnione tłumami nie dbających o cenę klientów, reprezentacyjne ulice w centrum miasta, bliskające z nastaniem mroku światłom różnobarwnych neonów i wypielione gwarem fali ludzkiej. Z drugiej strony kręte uliczki dzielnic robotniczych, rudery prawie zupełnie pozbawione światła dziennego, a zamieszkałe przez rodziny licznym obciążone potomstwem, żułki Bródna i Pelcowizny aż hen, ku osiedlu dla bezrobotnych na Anopolu.

Taka Warszawa pozostała już dawno poza nami, choć dzieli nas od niej okres jednego dziesięciolecia. Widno nagłych kryzysów, połączonej z klęską bezrobocia, odsuwającej setki ludzi od procesu produkcji i pchającej ich na skraj ostatecznej nędzy należy bezpowrotnie do przeszłości, jako związane organicyzacje z ustrojem kapitalistycznym. Ludzie nowej rzeczywistości wciągani w potężniejszy coraz bardziej rytm odbudowy, wnoszący własnymi rękami monumentalne konstrukcje architektoniczne socjalistycznej Warszawy, zapominają o zmorze nadprodukcji; — pokolenie powojenne zna ją tylko z opowiadań. Słusznie więc powiada w przedmowie do „Bezrobotnych Warszawy” B. Dudziński: „...Powieść Brzostowskiej dając pojęcie o tym, jak było w Polsce w czwartym dziesięciu naszego wieku, uwidacznia dystans dzielący nas od owych czasów: pozwala lepiej, uchwytnej ocenić wielkość i znaczenie przebytej drogi...”

Powieść Brzostowskiej o ludziach wyrzuconych przez utratę pracy „poza nawias społeczeństwa” ukazuje dno, na jakie spycha ich wrogie człowiekowi ustrój. Bo jedną zniszczonego rozbitków jest już tylko życie przestępcy — zerowanie na cudzej słabości, wydzieranie ochłapów sytem, upodlenie swej godości ludzkiej. Tylko bogaty przyjaciel mógłby ocalić Łucję przed gruźlicą; spółka z szajką fałszerzy pieniędzy jest jedynym wyjściem dla Wronskiego; Franek utrzymuje się na powierzchni życia dzięki drobnym kradzieżom.

Los Franeka wskazuje na słabość, beznadziejność prób oporu. Glinie też i Łucja. Odejście bohaterów z baraków na Anopolu sprawia, że tracimy z oczu tragiczne losy borykających się tam z wciągającym ich bagnetem ludzi — ale nie znaczy to wcale, że ciężka atmosfera beznadziejności i nieuchronnej klęski człowieka została istotnie rozproszona w powieści. Jedynym przeciwnym tej atmosferze elementem jest kon-

on decyduje zarówno o ludziach, jak i budowie. Pragnąc uczynić sztukę partyjną, Rojewski ją przepartyjnił.

Istotnym błędem jest również nieumiejętność zestrojenia życia prywatnego z życiem tzw. publicznym. Przybojewski właściwie kocha się w pięknej Agnieszce Porczyńskiej i ta miłość, zamiast im być pomocą lub przeszkodą w pracy, jest czynnym ubocznym, z czym sobie ani autor, ani zakończeni nie mogą poradzić. Z właściwą sobie złośliwością i przekorą sprawy miłości wpadają w dialog zawsze wtedy, gdy świat się pali, gdy grozi katastrofa, gdy trzeba czynić wszystko, tylko nie kochać się. Rozmowa o meblach, kupionych na raty dla gniazdka, które ściśle sobie racjonalizator Stefan, wypada akurat wtedy, gdy zawalił się strop i cały plan, cała nowa metoda budownictwa wisi na włosku. Z Agnieszki także lepsza jest narzeczona, niż sekretarz Partii. Ale to już błąd trzeci.

Jest nim niewłaściwe odmalowanie ludzi. Nie wszystkich, oczywiście. Dobry jest Stefan Przybojewski i Zieja i Domaradzki i Synowicz i inżynier Bocheński, ale słaba jest Agnieszka, nie tylko, że jest kobietą, ale przede wszystkim dlatego, że wisi w próżni, gdzieś między zakonaną studentką a działaczką partyjnym, gdzieś między mieszczańskim salonem, a partyjnym lokalem. Nie wyrosła z robotnic. Nic z nimi nie ma wspólnego. Rola Agnieszki daje zresztą wykonawczym duży swobodę interpretacji.

Natomiast całkowitym nieporozumieniem jest literat Halny. Jeśli wszyscy dramaturdzy polscy od Wyspiańskiego bodajże przysięgli sobie ośmieszać swoich kolegów po piórze na scenie, to Rojewski zrobił to tym niesmaczniej, że wyrządził on literatom mimowolną krzywdę. Czy oznacza to, że nie ma u nas takich literatów, jakim jest Halny. Skądże, są na pewno, sami ich doskonale znamy. Ale Halny nie jest typowy, jest mało zaszczytnym dla naszej literatury wyjątkiem. Jest wyjątkową ofermą, półprzytomnym łazikiem, który zachowuje się na budowie, jak słoń w składzie porcelany, albo raczej jak pchła na trasie W-Z.

„Tysiąc walecznych” wejdzie wkrótce na afisze teatrów stolecznych. Robotnicy Warszawy potrafią najlepiej ocenić wartość i wagę tej sztuki.

Leszek Goliński

cowy akcent książki — gniew Franeka przeciw „dobroczyncom”. „Ogarnął go coraz większy niepokój o Łucję... znów będą ją za drzwi wyrzucać pracodawcy, znów godzinami każą jej czekać na tyżkę zbraczej zupy dobroczyncy... O niechby już raz skończyła się ich drobiazliwość panowania! Nieawst przepelniała jego pierś, rosta w krzyk ogromny, w pragnienie zemsty — odwetu. — Zaciśnął pięści...”

Taką perspektywą kończą się w „Bezrobotnych Warszawy” aluzje, — niejasne ze względu na cenzurę sanacyjną — które wskazują, że Franek zetknął się z ludźmi uczącymi go rozumieć przyczyny jego nędzy i walczącej o sprawiedliwość społeczna. Książce nie brak akcentów gniewu, a nawet wezwania do walki. Pozostają one jednak deklaracjami, lub podkreślają jeszcze beznadziejność mieszkanców Annapola. Także i rozmyślania Franeka wyglądają raczej na manifest osobistej zemsty zaszczepionego człowieka, mający być sygnałem ostrzegawczym dla sytkich, niż na świadectwo jego ideologicznej dojrzałości i zapowiedź przyszłego działania.

Takie skrzywienie perspektyw ideowych opisywanego świata jest wynikiem obciążenia tego nurtu literatury mieszczańskiej, który patrolował sentymentalnej krytyce kapitalizmu, a którego wpływ widać niewątpliwie na książce Brzostowskiej. Myślę tu o „Przedmieściu”.

W programowym wstępie do tomu „Przedmieście” tłumaczono zainteresowanie autorów zespołu dla spraw marginesu społecznego tym, że w oczach ciężkich kryzysów gospodarczych granice jego są szczególnie płynne, że każdy proletariusz może w każdej chwili zostać wtrącony w szeregi lumpenproletariatu.

Zainteresowanie sprawami bezrobocia daje okazję do gorzkiego i wstrząsającego oskarżenia ustroju — ale też nastrożać okazję do niebezpiecznych skrzywiń autorskiego widzenia rzeczywistości społecznej. Z zakresu obserwacji powieściowej Brzostowskiej wyłączone zostały na przykład zupełnie sprawy pracującego proletariatu. To sprawiło, że bunt bezrobotnych, odbierany od całosci sprawy robotniczej jest tak beznadziejny, a nawet przybierać może fałszywe wymiary osobistej zemsty strażnika. Może powstać fałszywa sugestia, że najważniejszą linią podziału jest ta, która oddziela ludzi mających pracę i środki utrzymania od pariasów vegetujących poza obrębem społeczeństwa. Wprawdzie pisarka dostrzegła nędzę biedoty wiejskiej (postać chłopca handlującego drzewem), ale w sposób doktrynalny zabrakło w książce obrazu „normalnego” losu robotniczego, „normalnego” wyzysku pracy ludzkiej, niezawistego od tych schorzeń systemu kapitalistycznego, jakimi są okresy bezrobocia.

Dalszą słabą stroną powieści jest jej retoryczność. Wszelkie założenia opracowywane są w sposób — powiedzieć — publicystyczny przez autorkę, która mówi o sobie wiele słusznych rzeczy, ale nie tworzy przekonujących postaci, które by mogły owe tezy przedstawić bardziej sugestywnie.

Starając się wzbudzić w kołach lewicującej inteligencji (gdz taki był przypuszczalnie społeczny krąg odbiorców tego rodzaju literatury) współczucie dla niewinnie cierpiącego człowieka, autorka zwraca uwagę przede wszystkim na ludzkie wartości zepchniętych na dno bezrobotnych. Stąd też niejednokrotnie nadmierna idealizacja postaci książki. Łucja przypomina raczej księżniczkę — zebraćkę, przypadkowo zabłąkaną w tłum proletariatu, niż prawdziwą przedtawicielką tej klasy. Presubtelne uczucia tej delikatnej dziewczyny kreują ją na jakąś wyjątkową, niezrozumiałą przez ogół jednostkę. Pozostałe postaci n.e są specjalnie indywidualizowane — wszyscy niemal przemawiają tym samym językiem — niestety jest to aż nadto poprawny styl samej autorki — tak, że czujemy się zaskoczeni skoro subtelny Franek zwraca się do Łucji w sposób nasuwający skojarzenia z Wierchem. Z drugiej strony, czyż np. śmiertelnie zmęczony życiem robotnicarz który za chwilę ma się rzucić w nurty rzeki, może myśleć takimi kategoriami: „Gdyby tak rzucić się, upaść na jedną taką złością plamę pod mostem — zawrzałyby ze złości, że zmacono uroczę jej śnięcie...”

W komentarzu autorki widać często dążenie do zatargania sumnieniami posiadających, apelowanie do „szlachetnych uczuć” czytelnika. Owe akcenty sentymentalizmu znacznie osłabiają polityczną wymowę powieści, nie zapominajmy jednak, że podobna atmosfera ciałyna na większości literatury postępowej tego okresu. Autorka jednak potrafiła zdecydowanie rozprawić się ze złudzeniami i fantropii, potrafiła pod właściwym adresem skierować oskarżenie, jeśli nawet w języku powieści nie umiała go przekonująco sformułować. A wstrząsającym obrazami nędzy i krzywdy człowieka w nieludzkim świecie kapitalizmu dała świadectwo minionym czasem niedoli.

Halina Rybicka.

*) Janina Brzostowska: Bezrobotni Warszawy, Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza” s. 148.

Jan Skalski

Listy z prowincji



Najpierw o naszych żalach do „Wsi” Mamy pretensję, że „Wies” o nas trochę zapomnieli. A tymczasem zachodzą przecież u nas wielkie rzeczy: wojewódzka orkiestra symfoniczna pod dyr. Mariana Stronickiego, uswietliła uroczystości odnawienia do użytku wielkiej hali produkcyjnej naszego kieleckiego „Domu Słowa”, czyli zakładów graficznych RSW „Prasa” na Młynarskiej. Zastępcy Klubu Literacki obchodzą setny „czwartek”. Ma on tę szczególną zastęgę, że zdolat skupię maszy tuższego ciała pedagogicznego, co nadato mu wielką profesorską powagę i rufinę. Z kadrowym narybkiem robotniczym w klubie gorzej ale przecież drzwi otwarte a wstęp bezpłatny... szkółka czeka... Zresztą kielecka metropolia kulturalna i tak promieniuje na województwo, czego dowodem, że w takim zadymionym Radomiu „przyjęły się” niedzielne artystyczne - literackie tamtejszego klubu. Ponadto już po raz 6-y otwarto ogólnopolską wystawę zimową plastyki, w której bierze udział aż 25 malarzy i 10 grafików! Kielce wystawiły w teatrze „Pieśń Koguty” Batuszisa, zanim Warszawa upadła na ten pomysł, ale ze to w Kielcach, to nikt nie napisał i poczekaj aż będzie w Warszawie. Ani, że potoczyli kamień węgielny pod nowe popiersie w parku — tym razem — Zeromskiego. Właśnie największe mamy pretensje do „Wsi” o Zeromskiego. Myśleliśmy, że co jak co, ale wystawa w Muzeum świętokrzyskim poświęcona Stefanowi Zeromskiemu poruszy redakcję, bo przecież głośno o niej w kraju. Oprobowaliśmy po niej różnych literatów, znosiliśmy cierpliwie, jak nas poklepywali po plecach i głaskali po główkach jak zdolne dzieci, ale przecież w końcu napisali tu i ówdzie i pochwalili. Warto obejrzeć tę wystawę z różnych względów a choćby dlatego, że daje obraz nie tylko twórczości Zeromskiego ale całej epoki, tego, co w swym zasadniczym kształcie utrzymywało się u nas do ostatnich czasów i dopiero teraz przechodzi do muzeum, wymiatane przez „nowe”.

Otóż chodzi właśnie o to „nowe”. Pod tym względem redakcja ma nas na sumieniu. W oczach czytelników pozostaliśmy bowiem z opinią marnej prowincji, jaką nam „Wies” jeszcze dwa lata temu wyrobiła, aczkolwiek, wówczas słusznie; bardziej podobni do tamtych Kielc z muzealnej wystawy Zeromskiego i geograficznych notatek Wacława Natkowskiego z początku stulecia. A my przecież przez te dwa lata nie staliśmy w miejscu — urosliśmy, zdążyliśmy ukończyć nasz plan 3-letni i dobrze zacząć 6-letni.

Spójrz czytelniku na mapę naszego województwa a w szczególności na przylutny kąt w łuku Wisły; darmo tu było szukać linii kolejowej lub choćby przyzwoitej szosy, a to przecież najurodzajniejsza część województwa.

W planie 6-letnim budujemy trzy linie kolejowe, które przetrną nasze województwo z północy na południe i z zachodu na wschód, budujemy setki kilometrów dróg bitych, produkujemy SAMOCHODY W STARACHOWICACH. Starachowice to będzie Nowa Huta naszego województwa. Urosną do miasta stutysięcznego. Ten, kto znał stare Starachowice, wie, że to prawie tyle, co wybudowanie nowego miasta. O Starachowicach już dziś warto pisać. Przechodzimy tam na potokowy system produkcji. To nie jest taka zwykła reorganizacja pracy, jakby się może komuś zdawało. Do potokowej produkcji trzeba doradzić. MY DORASTAMY, choć nie idzie łatwo. Bazą wyjściową, tą częścią zakładów, która daje początek potokowi produkcyjnemu, jest u nas zespół fabryczny FM, produkujący odlew. Otóż właśnie FM była wąskim gardłem naszej produkcji, tu robiło się najwięcej braków.

Najmłodszy

W naszej Bibliotece Gminnej największym powodzeniem wśród młodzieży szkolnej cieszą się tzw. „czerwone książeczki”. Biblioteki Żołnierza, zawierające nie skróty, lecz fragmenty wybitniejszych dzieł literatury radzieckiej takich autorów jak Gorki, Polewoj, Fiediejew, Niekrasow, Ostrowski (z polskich widziałem tylko „Fundamenty” Pyłakowskiego). Biblioteka gminna posiada trzydzieści kilka tych tomików i wszystkie są stale w ruchu. Ile razy przyjdą do biblioteki, zawsze zastają tam gromadkę mikroświs w wieku od osmiu do dwunastu lat. Zwartym kołem otaczają stół i siedząc przy nim bibliotekarkę, wyciągają sobie książki z rąk, wertygując na stole, dopytują się o inne — istny tam jarmark, handel wymienny, połączony z licytacją, wianem i reklamą. „Kto ma „Czyste sumienie”? Zbyszek, tyś mi zabrał?” — „Nie, ja ci nie wziął, u Władka widziałem”. — „Ale ten Jotnik, to był morowy, no nie? Ty byś na jego miejscu ani połowy drogi nie przeszedł”. — „A właśnie żeby przeszedł, jakbym nie mógł na rękach, to bym się tulał po śniegu”.

Henryk Worcell

Sprawy czytelnictwa

Głód książki

Pierwszą książką, którą zobaczyłem po raz pierwszy w życiu, był elementarz szkolny. Kupiła mi go matka za 15 jajek. I z nim to zaprowadziła mnie do szkoły, oddając w opiekę nauczycielki, która miała nauczyć mnie sztuki czytania.

Drugą — był „Robinson Kruzo” — książka, o której marzyłem przez długie miesiące... Cośkolwiek z treści już znalazłem w opowiadaniach starszych. Ale to jeszcze bardziej podsycało moją dziecięcą ciekawość. Wprawdzie na korytarzu szkolnym stała na trzech nogach ogrzynała przez myszy szafa, w której mieściła się biblioteczka szkolna i w niej znajdowała się owa cudowna, wymarzona książka, ale z bibliotek mogli korzystać tylko starsze klasy. Zazdrościłem tym szczęśliwcom i z niecierpliwością oczekiwałem chwili, w której będę mógł dostąpić tego szczęścia...

Wreszcie zdecydowałem się pójść do nauczycielki, która miała opiekę nad biblioteką. Wspinając się na palcach (aby pokazać, że nie jestem już taki mały) drżącym głosem wykształsiłem prośbę. Dostałem „Robinsona”. Radość moja nie miała granic. Odtąd zaczęło się życie, które liczyłem ilością przeczytanych z gorącą, nienasyconą, dziecięcą ciekawością książek, „Pożegnalem” jedną po drugiej. Gorsza sprawa była w domu. Ojciec, kiedy zobaczył, że czytam jakieś nie „szkolne” książki ostro mnie karcąc: — Po co ci to? Urzędniczkiem nie będziesz!!! Ty cholopski syn... W szkole nauczysz się dobrze rachować, żeby cię w mieście handlarz przy sprzedażu żywności i soltyś przy podatkach nie oszukał... (Doświadczał tego często na własnej skórze).

Czytałem również gazety. Kiedy matka przynosiła ze sklepu śledzie,

chwyciłem zamoczoną „lakiem” gazetę, z pietyzmem rozpoczerałem na kuchni, suszyłem, a później każdy jej skrawek czytałem do ostatniej litery. Przeczytanymi nowinami dzieliłem się z kolegami. Nie zawsze chcieli mi wierzyć, gdyż pewnego razu przeczytawszy skrawek gazety z 1918 r. napowiadałem im takich rzeczy, że odtąd straciłem zaufanie.

W czasie okupacji głód książki był jeszcze dotkliwszy. Niemcy zniszczyli szkolną bibliotekę, z której cobyś już wszystkie książki przeczytałem. Jedyną książką, którą wtedy przeczytałem, był „Pan Tadeusz”.

...O roku ów, kto cię widział w naszym kraju — czytałem po raz nie wiem który i czekałem na ów rok, który ja zobaczę... Ujrzałem. Był to rok 1944.

Dziś to wszystko zdaje się być legendą.

Tysiące tomów czeka na chłopskie dziecko, któremu kiedyś do wiedzy wstąpił wzbrosiony. Dziś wspominać o tamtych czasach z nienawścią. Z żalem myślę o straconych latach mojego dzieciństwa...

Dziś, kiedy przyjeżdżam na ferie do domu (studiuje na uniwersytecie) brat mój czyta książki (z Gminnej Biblioteki, ma ich pod dostatkiem) przy dużej lampie (wkrótce będzie czytał przy elektryczności) do dwunastej, piątę w nocy i nikt na niego nie krzyczy. Listonosz, który kiedyś przychodził raz na kilka miesięcy i nic dobrego nie wróżył, dziś codziennie przynosi gazety. W niedzielę ojciec siada przy stole i polozowy na nim spracowane, czarne, chłopskie ręce zwraca się do brata: — No przeczytaj, co tam w polityce słychać!... Brat bierze „Gromadę” i czyta głośno. Jan Wróblewski

Droga książki na wieś

Bywam często w „Domu Książki” w Lipnie. Prowadzi mnie tam ciekawość przejrzenia nowych, sprowadzonych książek, z których często jakąś nabywam. Pod koniec listopada zauważyłem, że prawie wszystkie książki z wielu długich półek zniknęły. Ho, ho pomyślałem — wywedrowały w ręce czytelników! Przed nowym rokiem znów wielkie paki książek nadeszły do „Domu Książki”. Parę dni temu jestem tam i oczom nie wierzę — znów prawie wszystkie półki próżne. No to idą na weso — mówię głośno — bo przecież miesiąc na powiatowa, jak nasze Lipno, takie ilości książek nie wykupi.

— Ależ obywatelu — odpowiada kierownik — sądziłicie, że przy dniach targowych w okresie przedświątecznym poszły na wieś? Nie, tak dobrze jeszcze nie jest, rozprawiliśmy książki po gminnych spółdzielniach, jakich na terenie powiatu mamy 18. Każdej z nich przydzieliliśmy książki za sumę 5000 zł. (nowych). Zrobiliśmy to dlatego, żeby książka znalazła się bliżej wsi, aby się nią wieś bardziej zainteresowała.

Odwiedziłem w czterech gminach gminne spółdzielnie, zaciekawiony gdzie i jak książki umieszczono w sklepach, jak się zachęca ludność i jak książki idą na weso? Otóż... w jednym ze sklepów dlatego tylko książki znalazłem, że specjalnie o nie pytałem. Wprawdzie były w sklepie na półce, ale zaslonie porozwieszana lokciowizna. W innym podobnie, książki leżały na niewidocznym miejscu a „najgustowniej” to już chyba leżały one w sklepie spółdzielczym w Karkonowie: na najbliższej półce, że nie sposób zauważyć, jeżeli się nie zbliżył i nie nachylimy. Natomiast wódka stoi wyżej nad książkami, już od progu widać... Sama droga książki na wieś jest dobra i pochwalają ją należy, a temu kto ją obmyślał należy się uznanie, a przy uznaniu i pomocy jednych, trzeba dopilnować drugich, żeby z

Czy to naiwność?

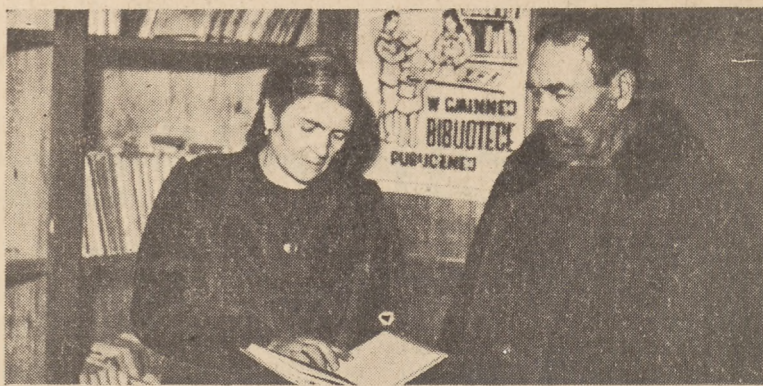
W korespondencji zamieszczonej w 6 Nrze „Wsi” pt. „W odpowiedzi praszowi” ob. dr Józef Stotwiński bronit dotkniętej przeze mnie SOW „Czytelnik” za niewyrażenie adres mego notatki pt. „MOJ PEGAZ I WYDAWNICZA SZKAPA”. Oczywiście przyznaję, iż adres był niewyrażony. Winiem on brzmieć... i „kolporterka szkapa”, co niniejszym protestuję. Jednak co do treści notatki nadal podtrzymuję, iż ograniczała się wyłącznie do „Domu Książki” i w niczym nie zahaczała o „Czytelnika”. Przetło dziwić się, iż ob. dr Stotwiński zamiast jednym słówkiem sprostować nieodpowiedni przymiotnik w tytule, rozgadzał się niepotrzebnie, posadzając mnie o naiwność, błąd pojęciowe i ubolewa, iż „nie szczęśliwie zarządził i źle”. Uważam, iż sprawa ta jest nie tylko sprawą autora, ale też poniekąd i „Czytelnika”. Pisałem przecież, że od paru miesięcy mego książki nie ma w sprzedaży. I dotychczas nie ma jej w Katowicach, w Gliwicach, w Chorzowie, w Zabrze, w Sosnowcu, a nawet jak mię poinformowano w Krakowie. Nie jest to bynajmniej odosobniony wypadek — tak jest z wieloma wydanymi książkami. Leżą sobie spokojnie w magazynie (np. swego czasu tom poezji Anny Kamieńskiej i innych). Toteż przy pisaniu poprzedniej notatki wcale nie byłam tak naiwny jak sądzi ob. dr. Stotwiński, bym „nie wiedział”, iż „Czytelnik” nie ma dystrybucji na kolportaż książki”. Zwróciłem się w tej sprawie do wojewódzkiej Delegatury „Domu Książki” w Katowicach. Okazało się, iż Delegatura wy-

nęliżymy szacunkiem i godnością dla książki znaleźć dla niej odpowiednie miejsce w naszych sklepach spółdzielczych.

Nie jesteśmy tak biedni, żeby nas nie stać na szafkę oszkloną. Taką szafkę można umieścić nie koniecznie tam, gdzie inne towary. Można wybrać wolne i widoczne miejsce i szafkę i niektóre tytuły obrócić tak, żeby były widoczne. Poza tym nad szafką dać odpowiednie hasła. Obok umieścić tablicę, gdzie by się zapisywało: 1) Ile z każdej wsi kupiono książek i jakich — tak, ogłaszając współzawodnictwo! I dawać kontrolę społeczną! 2) Listy czytelników, mówiące o treści przeczytanych książek, dające ich oceny, zachęcające. Wszak zostają pracownikami w spółdzielni to już pewien zaszczyt, połączony z obowiązkiem służby społecznej. Bo idea spółdzielności to nie tylko kupić i sprzedać, mieć nadwyżkę i rozrastać się. Rozrastać się, owszem, ale wraz z polepszeniem się bytu gromady i gminy. Aby to osiągnąć spółdzielczość jednocześnie ma za zadanie: podnoszenie wiedzy, świadomości, nauki i oświaty. I właśnie dlatego dla każdego pracownika spółdzielni książka winna być nie tylko „artykułem” ale bronią, która swoją bojową rolę odegra w zadaniach spółdzielczości. A gdy już tego książka dokona to kiedyś i w Lipnie przy dniu targowym będą książki z półek „Domu Książki” tak samo znikać jak w piekarniach chleb.

— Ale teraz nie jest jeszcze dobrze. Redakcja „Wsi” pytała mnie, co ludzie mówią o konkursie jaki podobno ogłosił Zarząd Główny ZSCh na temat przeczytanych pięciu książek (i to w dużym stopniu nowych) — a tu w gminnych spółdzielniach nie o tym nie wiedzą, nie informują ludzi, nie wywieszają afiszów (a takie powinny być zrobione). To ja teraz pytam: jak tam z biurokracją w Zarządzie Głównym?

Seweryn Skulski



Podhale do przemysłu

Podhale to najbłajiej przemysłowa część Polski co wraz z przeludnieniem rolnictwa i dużym rozdrobnieniem gospodarstw wpływało bardzo ujemnie na całokształt życia tutejszej ludności. Właśnie mając na uwadze te problemy Sejm uchwalił budowę dwóch dużych ośrodków przemysłowych w Nowym Targu i Jordanowie. Aby odciążyć nadmiar rąk z przeludnionych wsi powstaje jeden z największych obiektów przemysłowych planu 6-letniego „Nowa Huta” w woj. krakowskim. Małorolni chłopcy znajdują więc zatrudnienie i dobre zarobki w rozbudowywanym się przemyśle. Już w 1950 r. dał się zauważyć wzmoczony odpływ ludności wiejskiej Podhala do przemysłu. Tak np. z gminy Bystra Podh. wyjechało w ubiegłym roku do robot w Nowej Hucie 95 osób. W PPB w Krakowie zostało zatrudnionych 60 robotników zaś w Bielsku i Katowicach ok. 30 osób. Nadto wyjechało i osiedliło się na Zachodzie 5 rodzin. Nie można powiedzieć, że gmina Bystra należy do najbardziej przeludnionych okolic Podhala. Przeczy temu struktura gospodarstw. Na ogólny obszar gminy 13690 ha przypada na lasy 5526 ha, użytki rolne 6900 ha, nieużytki 92 ha. Na 2144 gospodarstw jest do 2 ha 450 gosp. od 2 do 5 ha 796, od 5-10 ha 729, od 10-20 ha 162, od 20-50 ha 7 gospodarstw. Są na terenie gminy dwa tartaki ponad 10 sklepów. Są warsztaty rzemieślnicze i chałupnicze. Wielu mieszkańców zatrudnionych jest w PKP. Bystra jest miejscowością letniową, co również wpływa na dochodowość i zamożność gminy. Ogólnie biorąc sytuacja Bystry w porównaniu z okolicznymi gminami przedstawia się dość korzystnie, co powinno wpływać hamująco na migrację ludności, jest jednak przeciwnie. Bystra dorównuje a nawet przewyższa wiele gmin pod względem emigracji. Bardziej przeludniona i uboga jest np. sąsiednia gmina Łętowia a mimo to dużo mniej ludzi ruszyło za zarobkiem w świat. Co jest tego przyczyną? Znaczny wpływ na te procesy ma komunikacja. Na terenie gminy Bystra są dwa przystanki kolejowe

a przez Osielec przebiega ważna trasa samochodowa Nowy Sącz—Bielsko. Dzięki dobrym warunkom komunikacyjnym ludność ma możliwość łatwego kontaktowania się z ośrodkami przemysłowymi. Znaczna część robotników przemysłowych z Bystry przyjeżdża na każdą niedzielę i święto do domu.

PPB w Krakowie odwozi bezpłatnie w każdym tygodniu w sobotę dwoma autami robotników do Bystry i przwozi ich spotwem do pracy w poniedziałek. Względy komunikacyjne wpływają w znacznym stopniu na migrację ludności do przemysłu i ta sprawa wymaga odpowiedniego ustosunkowania się Rady Gminnej. Słaba zachęta i nieodpowiednia propaganda władz wiejskich w okolicznych gminach jest przepuszczalnym powodem, że ludność z nich odpycha do przemysłu w mniejszym procencie. Robotników z gminy np. Łętowia zniechęca uciążliwa podróże do ośrodków przemysłowych. Do najbliższego przystanku kolejowego mają Łętowianie ok. 8 km., a przecież w odległości 10 km. biegnie autostrada Kraków — Zakopane i z Łętowia podobnie jak z Bystry można by zorganizować przejazd autami. W tej sprawie potrzebna jest pomoc i współpraca Rady gminnej, tak jak to jest w Bystrze. Tutejsze władze gminne nie szczędzą wysiłku by skierować swą wieś ku lepszej przyszłości. Wyrazem troski o rodziny, których członkowie wyemigrowali z gminy za pracą, niechaj będzie powzięta jedynomyślnie przez GRN uchwała, mocą której rodziny te zostają zwolnione od szarwarku a biedne rodziny otrzymują nadto ulgi w podatku gruntowym. Taki stosunek zachęca ludzi do szukania pracy. Z zarobków korzysta nie tylko robotnik, podnosząc stopę życiową ale także wieś cała i państwo. To nieprawda jest że chłop woli siedzieć na swojej biedzie i głodować byle tylko nie ruszyć się za wieś. Kto tylko ruszył za pracą, przekonał się zaraz że nie warto biegać na zagonie i zachęca innych.

Gaek Władysław

Płacić czy nie płacić?

„Prasa Polska” miesięcznik wydawany przez Zaw. Zw. Dziennikarzy RP. w numerze 6-7 z czerwca — lipca 1950 r. w Instrukcjach Zarządu Głównego Zw. Dz. RP. zauważa, że jesteśmy na zlej drodze w formie wynagradzania korespondentów terenowych. Instrukcja poleca selekcjonować korespondentów na „lepszych” i „gorszych”. To znaczy „lepszych” wynagradzać, ale nie pieniądze, lecz od czasu do czasu, przy różnych okazjach, rocznicach, zjazdów, itd. wynagradzać bibliotekami, książkami, radioaparatai, prenumeratami pism. Stałe roczne redakcje mogą stosować tylko wobec tych korespondentów, którzy spełniają jakieś inne funkcje w ruchu korespondentów, które wymagają stałego nakładu pracy i czasu, jak np. instruktorzy i organizatorzy.

Instrukcja zauważa, iż wielu korespondentów goni jedynie za zarobkiem i wobec tego piszą te same korespondencje do kilku pism jednocześnie, pobierając honorarium. Instrukcja też radzi, aby każdy z korespondentów był wpisany do jednej z redakcji, jako macierzystej.

Gł. Zarz. Zw. Zaw. Dz. RP widocznie uważa, że korespondentów terenowych posiadamy już dosyć, a może nawet za wiele i wobec tego trzeba ich posegregować na „lepszych” i „gorszych” i naturalnie tych „gorszych” ot, wyrzucić za burtę.

Niech Gł. Zarz. Zw. Dz. RP nie obawia się konkurencji korespondenta terenowego. Korespondent terenowy kocha swój teren, zna ludzi, ich wartości, patrzy własnymi oczyma na terenowe sprawy społeczne, bierze w nich udział. Posadźcie go w Warszawie czy gdzieś indziej przy biurku, on tam nie będzie produkcyjnym i sam ucieknie z powrotem na teren albo mu po jakimś czasie ktoś powie, żeby to zrobił. On na terenie jest zadowolony z roli korespondenta i wtedy jest tylko wartościowym, gdy poza pracą korespondenta pracuje społecznie, pracuje w swoim zawodzie robotnika czy rolnika.

¶ Nie radzę jednak odliczać jednych jako „lepszych”, drugich jako „gorszych” ponieważ ten „lepszy” kiedyś

napewno był „gorszym” a wiadomo, że większość korespondentów to ludzie młodzi. Nawet ten „najgorszy” już jest dobry gdy pisze, a jak pisze, to i walczy, bo przecież dziś w ostry walce nowego świata ze starym i dobijania wroga klasowego, korespondencje nie składają się z bajeczek dla uspiania niemowląt w kołyskach, tylko z treści społecznej, walczącej z wrogiem klasowym. A kto dziś pisze w Związku Radzieckim wspaniałe książki o walce i pracy, o budowie socjalizmu i budowie nowego człowieka — to prości wczoraj ludzie, początkujący przed laty w zwykłych korespondencjach do pism.

Czy „Gromada” biłaby dziś ponad milion egzemplarzy gdyby nie miała kilka tysięcy korespondentów? Pisma w Polsce sanacyjne nie wiedziały nawet o tym, że jakis tam korespondent terenowy może być i nim się nazywać. Pisma za sanacji bez wsi wychodziły dla wsi. O portkach wsi i dążeniu chłopca pisał różne gryziółki nie znające wsi ani chłopa.

Nie utracą „gorszych” korespondentów, ale wychowywać ich na coraz lepszych i zachęcać coraz więcej społeczników terenowych do pisania. Raczek organizować kółka korespondentów, przez to dodamy im śmiałości do owocniejszej walki z wrogiem klasowym i walki bardziej skutecznej. Za pisane korespondencje honorarium nie słoży do kieszeni jednego korespondenta, ale na kółko korespondentów za co mieliby potrzebne rzeczy do pisania, kółko opłacały pisma i bogaciło się książkami wybranej przez siebie treści. Wrog klasowy miaby do czynienia z kółem korespondentów, a nie jednostką, której jeszcze czasem umie nogę podstawić i osobiście mścić się.

Czy płacić, czy nie płacić? Oto jest pytanie. Ale pod żadnym warunkiem nie wolno nam z drogi, którą idziemy do socjalizmu, zwracać. A rozdział korespondentów na „lepszych” i „gorszych” czyli „gorszych” wyrzucać za burtę oznaczałoby w drodze do socjalizmu robić krok wpród i dwa wstecz.

Józef Bondarczuk

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wileńska Nr. 12 Adres Redakcji:
Warszawa, ul. Starwkiewska Nr 7.
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K., „Ruch”, Oddział w Warszawie,
ulica Srebrna 12, tel. 804 20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 727 85 Tel. Redakcji 751 80 9 wewnętrzny 23 i 80,
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. OSW. C Z Y I E L N I K
REDAKCJA NIE ZAMOWIENIOM REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumerat:
miesięcznie 3-zł.; kwartalnie 9-zł.; półrocznie 18-zł.; rocznie 36-zł.;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO. Warszawa
VII-1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.”
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wvd.-Ośw. „Czytelnik” Marszałkowska 8/6
2-B 11254